ROCZNIK IX.
TOM II.

NR. 103. - 108
LIPIEC
1913.

ŚWIAT SŁOWIAŃSKI

MIESIĘCZNIK

POD REDAKCYĄ
DRA FELIKSA KONECZNEGO

KRAKÓW
ADMINISTRACYA: UL. CZYSTA 1.

„Świat Słowiański“

miesięcznik poświęcony słowianoznawstwu i przeglądowi spraw słowiańskich ze stanowiska polskiego, wychodzi z początkiem każdego miesiąca w zeszytach 4—5 arkuszowych. — Prenumerata całoroczna wraz z przesyłką pocztową wynosi 10 K (10 marek), kwartalnie 2 K 50 h. (2 M. 50 f.) Cena jednego zeszytu 1 K (1 M).

Adres Redakcyi: Kraków XIII., Salwator

Administracya: ul. Czysta L. 1.

Skład główny na Lwów i Galicyę wschodnią w księgarni H. Altenberga we Lwowie.

W Warszawie skład główny w księgarni Wendego i S-ki.

Prenumerata roczna 5 rb. 50 kop.

TREŚĆ Nru 103-go:

(lipiec 1913 r.)

Świat Słowiański

MIESIĘCZNIK

poświęcony słowianoznawstwu i przeglądowi spraw słowiańskich ze stanowiska polskiego

POD REDAKCYĄ

Dra FELIKSA KONECZNEGO.

ROCZNIKA IX-go
TOM II-gi.
(Lipiec — Grudzień 1913).

KRAKÓW.
Czcionkami drukarni Literackiej pod zarządem L. K. Górskiego.

Administracya: **Kraków, ul. Czysta L. 1.**

TREŚĆ TOMU II-go ROCZNIKA IX-go.

(Lipiec — Grudzień 1913.).

Doniosłość sprawy śląskiej.

Sprzeczne interesy potęg politycznych ścierają się zazwyczaj na rozległych przestrzeniach, obszerniejszych nawet od państw, o które w walce chodzi. Wojna północna, prowadzona o ułamki bałtyckiego wybrzeża, zabłądziła daleko na południe i poruszyła tureckich janczarów. Wojna sukcesyjna polska toczyła się głównie we Włoszech i nad górnym Renem, zrywając do pochodu hiszpańskie pułki. Podobnych przykładów pełno w historyi. Są atoli małe krainy, jakby przeznaczone przez historyę na wykładniki wielkich, długotrwałych walk, staczanych wszędzie przy jakiejkolwiek sposobności, lecz skupiających się przedewszystkiem na pewnem szczupłem terrytoryum. Inflanty były takim wykładnikiem współzawodnictwa Danii, Szwecyi, Niemiec, Polski i Rosyi.

Podobne znaczenie zdaje się mieć Śląsk, iż w krainie tej rozstrzygają się losy środkowej i wschodniej Europy. Czy Tryest będzie kiedyś głównym portem Rzeszy Niemieckiej, czy dzieci czeskie będą kiedyś bite przez nauczycieli pruskich przy szkolnej nauce katechizmu, czy starsi ich bracia nie będą nucić, zapięci w pruskie mundury: „Ich bin ein Preusse“, czy kiedyś wzmożonej flocie niemieckiej uda się zamienić Brazylię na zamorskie Prusy, to wszystko na Śląsku zdaje się rozstrzygać. Przyszły nowy Cezar Europy, czy też prezydent Zjednoczonych jej Stanów, mógłby kiedyś do swego herbu przyłączyć herb miasta Cieszyna, bo tam pod Piastowską Górą zakopano klucz przyszłego politycznego ustroju Europy.

Czy właściciele cieszyńskiego arcyksiążęcego zamku wiedzą, nad jakimi skarbami los dał im włodarzyć?

Naszą rzeczą jest, żebyśmy my sami zdawali sobie z tego należycie sprawę, i żebyśmy wobec przyszłych pokoleń zachowali przynajmniej czyste sumienie, żeśmy się bronili i nie przefrymarczyli

lekkomyślnie czarownego klucza. Wszystkie nasze starania nie zdołają wprawdzie dać Rosyi i Austryi polityków i wodzów wytrawniejszych, a zakres naszych wpływów pozostanie, niestety, dość szczupłym nawet przy największem natężeniu sił, ale jedna rzecz zależeć będzie bądźcobądź od nas, a mianowicie: ile też sił zużyć musi pruska zachłanność na pożarcie tej krainy? Wystarczy też starać się o to, żeby im to zadanie utrudnić jak najbardziej.

Niemiecki moloch dokazuje równocześnie w tylu stronach, że nawet na największego siłacza może tego być za wiele i może w stanowczej chwili zabraknąć mu małego ciężarka na szalę tej śląskiej właśnie wagi. Zarozumiałość pruska jest naszym walnym sprzymierzeńcem. Pokolenie wychowane w obłędzie, że z Bożej woli przeznaczone jest na panów świata, może wprawdzie odnosić wiele zwycięstw, lecz nie przetrzyma ani jednej klęski. Jedno niepowodzenie wystarczy, żeby ze szczytu buty spaść nagle w odmęt bezradnej rozpaczy. Dla takich Niemców, na jakich dziś patrzymy, przestaje świat istnieć w chwili, gdy go nie będą mogli kopać nogami; a możnaby im tę śląską ziemię najeżyć kolcami bez porównania gęściej i twardziej, niżeśmy dotychczas to robili.

Taktyka polityczna na Śląsku wymaga jednak pogłębienia i przystosowania do pewnych okoliczności lokalnych.

Na spółkę z Czechami popełniliśmy ten gruby błąd, żeśmy się tam za mało odwoływali do idei habsburskiej i niedość bronili powagi dynastyi wobec coraz cięższych ataków prusofilstwa. Dałoby się bez zbytniego trudu zdemaskować przeciwnika i toczyć najzaciętszą walkę na jednym, bardzo dla niego niedogodnym gruncie, skupiając się około czarno-żółtych sztandarów, które w ostatniem dziesięcioleciu dziwnie szybko chwiać się tam poczęły. Jak dotychczas, nie skorzystała z takiego stanu rzeczy nic a nic idea narodowa ani polska, ani czeska, tylko państwowa idea pruska. Niema wierniejszych poddanych Habsburskiego domu, jak Polacy w ogóle, a zwłaszcza na Śląsku; dlaczegoż więc nie uczynić z tego bojowego hasła tam, gdzie ono tak bardzo do tego się nadaje?

Drugi błąd zasadniczy, żeśmy się dali przed jakiemi dziesięciu laty trochę ośmieszyć wobec śląskiego ludu doktrynerom, uprawiającym politykę dedukcyjną bez znajomości stosunków i zabierającym się do rzeczy z gorączką w głowie, żeby szukać zwolenników dla szalonego pomysłu przyłączenia Cieszyńskiego do Galicyi. Na całym Śląsku niema jednego człowieka, któryby

sobie tego życzył i w Galicyi nikt z ludzi poważnych tego zgoła nie pragnie. Pomysł taki nie istnieje więc w rzeczywistości. Rozprawiała o nim tylko garstka starszych studentów i to tylko dla braku wszelkich danych, żeby wymyśleć coś konkretniejszego; a jednak nieszczęsny ten wybryk fantazyi stał się przeciw nam bronią w ręku wroga. Dziennik, który wówczas pierwszy ogłosił światu te elukubracye grona młodzieży, znający i Śląsk i Galicyę tylko z mapy, wyrządził wielką krzywdę sprawie polskiej, bo ją cofnął na Śląsku przynajmniej o dziesięć lat. Nie zaczniemy też na nowo robić szybszych postępów, dopóki się głośno i stanowczo nie wyprzemy tego, do czego nigdy wprawdzie nie dążyliśmy, co jednak Niemcy ciągle nam zarzucają, strasząc tem lud śląski. Niejeden Ślązak byłby śmielszy i energiczniejszy, gdyby się nie bał, że skoro Cieszyńskie nabędzie i na zewnątrz także cech polskich, będzie w końcu przyłączone do Galicyi. Wołajmyż głośno przy każdej sposobności, że sobie tego wcale nie życzymy, bo nam to właśnie zepsułoby niejedną rachubę.

Interes nasz wymaga, żeby Cieszyn wykształcił się na zupełnie samodzielne ognisko polszczyzny i byłoby to nierozsądkiem politycznym, żebyśmy tyle sił marnowali na to tylko, żeby mieć o jedno miasto powiatowe w Galicyi więcej. Nawet kościelne połączenie Cieszyna z Krakowem byłoby wręcz przeciwne naszym interesom, byłoby dla nas darem Danaów. Pragnijmy samoistnego biskupstwa w Cieszynie, a nie krakowskiej sufraganii! Czemuż więc dopuszczamy do tego, że Śląsk ma zupełnie fałszywe mniemanie o naszej polityce?

Sprawa oddzielenia Cieszyńskiego od wrocławskiej dyecezyi nie jest zresztą tak naglącą, jakby się zdawało. Z młodzieżą duchownego stanu wiedzie się nam wcale nieźle. Wiadomo, że seminaryum duchowne założono w ustronnej Widawie, żeby kleryków trzymać zdaleka od t. zw. wielkopolskiej agitacyi. I cóż się stało? Oto wszyscy, jak jeden mąż, porozsyłali zaraz w pierwszym roku zawiadomienia o swoich prymicyach wyłącznie w polskim języku. Stało się to na Śląsku po raz pierwszy dopiero i wróży dobrze o przyszłości. Wrocławskie szykany zrobiły więc wogóle więcej złego Niemcom, aniżeli nam, a zresztą sprawę tę rozstrzygnęła już sama Stolica apostolska na naszą korzyść, ksiądz zaś kardynał wrocławski nie ma wprawdzie przywiązania do nas, ale ma głębokie przywiązanie do Rzymu.

Gorzej się mają rzeczy z drugim decydującym czynnikiem

na Śląsku: z nauczycielstwem ludowem. Zorganizowane wybornie, uposażone pod względem materyalnym doskonale, a pod względem umysłowym przerastające wysoko swych galicyjskich kolegów, jest nauczycielstwo na Śląsku pierwszorzędnym czynnikiem kultury, a posiada ono dla polskości bardzo wiele sympatyi, lecz nie wie o Polsce niemal nic. Nauczyciele ludowi w Cieszyńskiem są na ogół oddzieleni od naszego narodowego życia. Kształcą się ciągle na niemieckiej lekturze i coraz lepiej znają język niemiecki. Czem więcej nabywają wykształcenia, tem trudniej wyrazić im myśl swoją w polskim języku. Czesi zarzucają swoich nauczycieli czeskiemi książkami, poezyą i prozą, podczas gdy my nie posiadamy ani jednej „latającej“ biblioteki z Mickiewiczem, Szajnochą, Sienkiewiczem. Nauczyciel śląski nietylko dużo czyta, ale on książki kupuje. Lecz cóż powiedzieć na to, że dotychczas nigdy żadna krakowska firma księgarska nie zadała sobie trudu, żeby rozsyłać do nich według schematyzmu prospekt jaki lub katalog swych wydawnictw? Nie znają nawet tytułów polskich książek, a jako klienci księgarscy stanowią monopol zażartych w niemieckości cieszyńskich firm księgarskich, Prohaski i Feitzingera, które nie utrzymują szkolnych polskich książek dla gimnazyum polskiego na składzie, a cóż dopiero książki do lektury! Trzeba nam się zabrać energicznie do nauczycielstwa ludowego i poprawić się z karygodnego zaniedbania tego stanu; ale zrobić to trzeba z taktem i p o c i c h u.

Nauczyciele są w olbrzymiej większości dobrymi Polakami, ale synowie ich niemczą się, bo wysoki stosunkowo poziom kultury, nabyty w domu i w rodzinnem pożyciu, nie opiera się na polskich książkach, a młodzież przepada oczywiście za książką i chętnie ją sobie bierze za przewodnika. Lud ma swoje gazetki. Wychowańcy cieszyńskiego gimnazyum będą znać historyę literatury i stan jej współczesny, ale nauczyciele na gazetach poprzestać nie mogą, a do literatury narodowej nikt im nie wskazuje drogi, i to jest główną naszą winą na Śląsku.

Seminaryum nauczycielskie było potrzebą znacznie pilniejszą dla nas, niż gimnazyum. Praktyczni Niemcy robili też tu więcej trudności, niż przy zakładaniu gimnazyum i sprawa ta jeszcze ani teraz w zupełności zadowalająco załatwiona nie jest, a nawet... cofnąć się jeszcze może.

Nie użyliśmy jeszcze wszystkich sił, które mamy do dyspozycyi, żeby oddziałać wprost na samo nauczycielstwo. Gdy to

nastąpi, niemczyzna na Sląsku będzie podminowana, a lud będzie miał naturalnych przodowników, i to tem lepiej, że wcale nie galicyjskich.

Popełniliśmy ten błąd, żeśmy się w urządzaniu szkolnictwa śląskiego trzymali opacznej kolei, osądzając sprawy śląskie po galicyjsku, jakby wszędzie na świecie panować musiały stosunki galicyjskie. W Cieszyńskiem należało zakładać najpierw szkoły wydziałowe, potem górniczą, następnie seminaryum nauczycielskie, wreszcie szkołę realną, a na samym końcu dopiero (jako pewnego rodzaju zbytek) gimnazyum. Zrobiliśmy to wszystko w porządku wręcz przeciwnym. Stało się! Dobrze, że i tak jest. Ale teraz przestańmyż już robić eksperymenta literackie z ludem śląskim, który jest trzeźwy, bo trzeźwym jest każdy wogóle lud wiejski, a do tego stosunkowo wykształcony, a więc... tem trzeźwiejszy. Nie od tego przecież ma się rozum, żeby przestać być rozsądnym...

Dziwnie to może brzmieć i wyglądać na frazes paradoksalny, gdy ośmielę się powiedzieć, że my sprawę Cieszyńskiego lekceważymy. Jakto? Małoż składek, odezw, artykułów, nawet wiece bywają! Składek stanowczo za mało; tak przynajmniej twierdzi „Macierz Śląska“, jedyny kompetentny do tego rzeczoznawca. Odezwy zaś, artykuły i wiece są, ale w niewłaściwym gatunku — bo my do spraw śląskich bierzemy się n i e p o ś l ą s k u. Serc gorących, ludzi dobrej woli sporo; wiadomo jednak, że nie zamiar rozstrzyga w polityce, lecz skutek. Otóż z dobrej woli, działającej jednak nieumiejętnie... dużo szkody. Byłoby też wielce pożądanem, żeby osoby szlachetne, lecz niekompetentne, ograniczały się do dostarczania funduszów, do dawania składek.

Kto nie umie działać po śląsku, niechaj na Śląsku nie działa! Wszak to takie proste i wynika to z najpospolitszego, uznawanego powszechnie prawidła, że działacz musi się przystosować do żywiołu, w którym mu działać wypadło; inaczej bowiem postępuje dziecinnie, a może nawet... szkodliwie.

Cóż Cieszyńskie zrobiło rodakom złego, że ustanowili dla tej krainy prawo wyjątkowe, dla niej fatalne: że na Śląsku nie chcą działać po śląsku, że nie chcą przystosować się do naszych warunków i potrzeb? Tkwi w tem jakoweś lekceważenie, chociażby nieświadome. Rodacy nie zdają sobie z tego sprawy, ale chłop śląski odczuwa to, że się ignoruje jego właściwości i ma to sobie za lekceważenie. Czyż on czemś gorszem od Mazura, żeby miał się

czynić do Mazura podobnym? Czyż jemu i Polsce nie wystarczy, że on Ślązakiem?

Oj nietylko wystarczy, ale o to może właśnie chodzi, żeby stając się Polakiem, pozostał Ślązakiem! Nie lekceważmyż śląskości na Śląsku, bo inaczej okażemy lekceważenie sprawie śląskiej i złą oddamy usługę sprawie polskiej.

Nie jest się bynajmniej pół-Polakiem przez to, że się jest całym Ślązakiem i chce nim pozostać! Nic my tu nie mamy tracić ze swych właściwości, tylko ci, którzy chcą wśród nas pracować (skutecznie, nie dla osobistej tylko moralnej satysfakcyi), mają te nasze właściwości poznać i do nich się przystosować.

Godną jest ta ziemia fatygi zwiększonej. Większą ona być musi, niż gdziekolwiek indziej. Zdajemy sobie z tego sprawę, żeśmy skutkiem odmiennego rozwoju dziejowego odchylili się bardziej od typu przeciętnego polskiego (jeżeli istnieje wogóle jakiś typ przeciętny pod tym względem!), a więc trzeba się więcej uczyć i dłużej uczyć, żeby nabyć wiedzy, potrzebnej do opanowania śląskiego żywiołu. Patryotyzm jednak wymaga tego, a więc trzeba to zrobić. Trudno, nie od naszej już woli zawisły te okoliczności, które sprawiają, że chcąc na Śląsku być pożytecznym, trzeba się do tego dłużej przygotowywać, niż w jakiejkolwiek innej polskiej krainie; trzeba też może być dojrzalszym, bardziej napojonym rozsądkiem, czy też zdatniejszym do rozsądku.

Czem rzecz większa, tem większego wymagać zwykła trudu. Może to nie prosty zbieg okoliczności, lecz głębsza wskazówka jakaś, że do serc śląskich droga najtrudniejsza? Bo też ziemia śląska najważniejsza, sprawy śląskiej największa doniosłość. Kto tu panem, ten nad wielą panem i wielkim panem! Z rzewnemi łzami błagamy Opatrzności, żeby nad Cieszynem wszelka moc była w polskiem ręku; ale z tem większem drżeniem baczymy, czy nasi rodacy trafnie się do tego biorą, żeby przez jaką niezręczność nie musieli ustąpić innym — czarownego klucza...

Fr. Ligocki.

Problem kultur bałkańskich.

Zmieniona mapa Bałkanu zmienia stosunki polityczne środkowej i wschodniej Europy. Czyż można przypuścić, żeby nowa konfiguracya bałkańskiego półwyspu nie wywarła wpływu na tony,

gamy i pasaże „koncertu europejskiego“? Niewiele stosunkowo mówi się jeszcze o tem, dla tej prostej przyczyny, że zmiany nie są jeszcze ustalone; nie wiadomo, na czem one będą polegały politycznie — bo nie rozstrzygnięto jeszcze zagadnienia, czy ten pokój, którego preliminarya podpisano w Londynie z końcem maja, kończy całą wojnę, czy też wojny długiej okres pierwszy? Jeżeli jest gdzie na świecie materyał na nową wojnę trzydziestoletnią, toć chyba na Bałkanie! A zawsze może wybuchnąć wojna europejska ze wszystkiego, co się tam dzieje! Jestto więc całkiem naturalnym objawem, że rozważania nad europejskimi skutkami wypadków bałkańskich odkłada się do czasu, gdy stanie pokój nietylko pomiędzy „czteroma królami“ a sułtanem, ale gdy chrześcijańscy władcy Bałkanu schowają miecz do pochwy, pewni, że nie użyją go przeciw... swoim, gdy załatwią się swary o podział łupów i — jeszcze jedno: gdy i stosunki z „mocarstwami“ staną się na nowo „poprawne“, a wreszcie samychże mocarstw między sobą „pełne wzajemnego zaufania“. Polityczna mapa Bałkanu nie jest bowiem wcale nakreśloną pokojem londyńskim; nic zgoła jeszcze nie wiadomo, którędy pójdą granice rozszerzonej Serbii, Bułgaryi i t. d., nie mówiąc już o Albanii, t. j. o tych terytoryach, które c. i k. Wysoki Rząd podjął się zorganizować państwowo, w tym chyba celu, żeby złożyć niezbity dowód przyjaźni dla Włoch, dla których podjął się zrobić to, co jest najtrudniejszego: początek.

Na ściśle polityczne, czyli określając rzecz dokładniej: na ściśle państwowe horoskopy jeszcze więc zawczasu z racyi wypadków bałkańskich.

Wcześniej odkryły się atoli okoliczności i względy ważniejsze od polityki państwowej, a mianowicie kulturalne. O tych mówić już można i bardzo jest nawet na czasie zastanowić się nad nimi — w Polsce. Dlaczego specyalnie w Polsce, okaże się niżej; zaczniemy jednak od zagadnienia, które nie ma związku ze sprawami polskiemi.

Można uważać za pewnik, że Turcy strat swoich już nie odrobią. Chociażby bowiem wybuchnęła wojna pomiędzy „czteroma“, czy też którymś z czterech a „piątym“ królem, rumuńskim, i choćby Turcya wyzyskała taką wojnę z pomocą tego czy owego mocarstwa i zdobyła z powrotem dużo kraju, a choćby nawet wkroczyła z von Goltzami et tutti quanti do Sofii... jakżeż długo mogłoby to trwać? Trzebaby pół armii pruskiej poprzebie-

rać w tureckie mundury, chcąc, żeby Turcya choć przez kilka kwartałów zdołała utrzymać panowanie w ziemiach, w których utraciła już wszelką powagę. Nawet więc w takim razie, gdyby państwom słowiańskim groziły jakieś klęski i uszczuplenie zdobyczy, nie Turcy zyskaliby na tem, i nie do Turcyi powróciłyby owe zdobycze, lecz znaleźliby się tylko do podziału łupów... nowi ochotnicy, a silniejsi, dość silni, żeby podnieść nawet „kwestyę cieśnin" i samego Konstantynopola. W ewentualnym dalszym ciągu wojny mogłaby Turcya użytą być za narzędzie, które potem wrzuciłoby się do morza Marmara, żeby je tam zatopić. Jeżeli to był tylko pierwszy okres wojny dłuższej, tem gorzej dla Turcyi — tem prawdopodobniej zniknie ona do reszty z mapy Europy. Kwestya polega nie na tem, że Turcya mogłaby odzyskać coś ze swych strat, lecz na tem, że mogłaby stracić wszystko po tej stronie cieśnin.

Usuwa się więc z Europy turczyństwo. Cóż będzie z muzułmańtwem na Bałkanie? Co z potomkami „bogomilców", którym herezya ułatwiła renegactwo i przyjęcie islamu, co z muzułmańskimi Chorwatami Bośny i Hercegowiny? Czy będą tam kwitnąć nadal poeci, sławiący Allaha i słowiańską ojczyznę równocześnie? Pielęgnowany pod opieką władz islamityzm wydał w Bośni szczególny twór kulturalny, bo piśmiennictwo muzułmańsko-chorwackie. Do jakiej kultury należą ci begowie bośniaccy? Nie byli nigdy Turkami, ale chcą pozostać wiernymi wyznawcami Proroka; z jednej strony garną się więc, jako Chorwaci, a więc Europejczycy, do kultury europejskiej, która jest chrześcijańsko-klasyczną — a z drugiej chcą pozostać religijnie przy kulturze azyatyckiej. Co za ciekawy problem! Czy można czerpać „resztę cywilizacyi" skądinąd, a skądinąd jej kość pacierzową, religię? Czy kultura „europejska" możebną jest poza chrześcijaństwem? Na ogrom tego pytania zaniosło się na odpowiedź w dalekiej Japonii i — w blizkiej Bośni. Mieliśmy tuż pod ręką takie zajmujące „pole doświadczalne" do historyi kultury...

Zdaje się, że tak w Japonii, jakoteż tu w Bośni zaniosło się na nowe wydania „dwojewierja", objawu znanego dotychczas tylko z dziejów Rosyi. Czy wytwór ten — w zasadzie antikulturalny — będzie się rozwijać dalej, nawet gdy zabraknie w sąsiedztwie kalifa i padyszacha? Teraz zadają nam dzieje nowe pytanie: czy muzułmaństwo Europejczyków możebnem jest bez oparcia o mu-

zułmańskie państwo — czy na Bałkanie możebny islam bez turecczyzny?

Turecczyzna ta miała w naszych oczach swe „odrodzenie“ od Midhata-paszy do krótkich rządów młodotureckich. Miała się odrodzić nacya azyatycka przez zeuropeizowanie się, przez przyswajanie sobie kultury europejskiej — i eksperyment zawiódł srodze. Mięszanina dwóch kultur okazała się potworkiem niezdatnym do życia. Okazało się, że nie da się odrodzić pewnej kultury z pomocą innej, przyjmując niektóre jej pierwiastki (np. ustrój państwowy, konstytucyonalizm). Japończycy zarzucają gwałtownie starą swą kulturę, ale Turcy nie zamierzali wyrzekać się swojej. Japończyk jest areligijny, lecz Turek wielce religijny. Japonia przerabia się na kosooką nową Europę, w której dzisiejsza areligijność nie wyklucza misyj chrześcijańskich, ale czy można sobie wyobrazić Turcyę bez islamu? Sama w sobie sił do odrodzenia nie znalazłszy, zatruła się do reszty injekcyą europejską.

Czy uprawianie kultury muzułmańskiej w Bośni było samorzutnym objawem życia, czy też tylko refleksem młodoturecczyzny z sąsiedniego państwa muzułmańskiego, będziemy wiedzieć po kilku latach. Teraz już krótki czas wystarczy, żeby dostarczyć odpowiedzi na cały szereg pytań.

A skoro już tak zapędziliśmy się w pytania, dodajmy jeszcze jedno: Oto radzibyśmy wiedzieć, czy c. i k. Rząd będzie i teraz jeszcze pielęgnował w Bośni i Hercegowinie kulturę muzułmańską? On to bowiem, sam Wysoki c. i k. Rząd, pilnował surowo, żeby zaś nie nawrócono przypadkiem choćby jednego muzułmanina na chrześcijaństwo; on-to pilnował przewagi i przywilejów begów. Wiemy, dlaczego to robił. Obecnie powody ustały i dlatego ciekawi jesteśmy, czy nie nastanie zmiana rządowych poglądów na kwestye kulturalne, a kultura muzułmańska... czy też zdoła istnieć bez opieki rządowej?

Musi oczywiście zostać równouprawnienie wyznań i nienaruszona autonomia kościelna muzułmanów; od tego jednak daleko do przeszkadzania chrześcijańskiemu misyonarstwu, jak bywało dotychczas!

Prawdopodobnie po likwidacyi turecczyzny na Bałkanie nastąpi niebawem likwidacya muzułmaństwa w Bośni. Komu dostaną się synowie begów? Oni sami za Chorwatów się uważają, ale synowie ich nie są pewni pod tym względem. Kto ich pozyska, czy katolicyzm, czy prawosławie? Może ten, kto będzie względniej-

szym, mniej natrętnym z nawracaniem, wyrozumialszym i cierpliwszym, a okaże się zarazem — kulturalniejszym. W Bośni nie można zaś twierdzić stanowczo, że żywioł prawosławny jest kulturalnie niższym!

Prawosławie stoi najwyżej w Austrowęgrzech, pod opieką katolickiej dynastyi. To rzecz wiadoma. W całej Rosyi niema nigdzie takich porządków wśród prawosławnych, jak na Bukowinie; świecą oni przykładem niedościgłym dla swych współwyznawców w państwie prawosławnem, gdzie ono religią „panującą“! Najwyższa kultura serbska panuje w Chorwacyi i w Banacie temeszwarskim — to też rzecz wiadoma oddawna. Uszło jakoś uwagi współczesnych, że do równej wysokości podniósł rząd austryacki kulturę prawosławno-serbską w Bośni. Dzisiaj bałbym się już uważać tam żywioł chorwacko-katolicki za stanowczo wyższy kulturalnie. To już kwestya wątpliwa. Trzydziestoletnie panowanie katolickiej dynastyi okazało się największem dobrodziejstwem dla prawosławia! Paradoks — faktem.

* * *

W słowiańszczyźnie wszystko jest w liczbie mnogiej: religie, kultury, kalendarze, abecadła, a w pewnych miejscach poczucia narodowe i same nawet nazwy narodów. Klio wspięła się na sterczący mniej więcej w środku Słowiańszczyzny któryś szczyt tatrzański i przywłaszczywszy sobie róg obfitości, potrząsnęła nim na cztery strony świata tak, że Słowianie wszystkiego mają za dużo i skutkiem tego same tylko kłopoty.

Nie pójdziemy za nią na Krywań. Niegdyś zdawało się jednemu z naszych Ojców Ojczyzny — Staszicowi — że widzi i obejmuje z tej góry cały świat słowiański. Złudzenie, opisane przez niego samego przepięknie, z wielką siłą — trwało krótko. Dziś nie widać stamtąd nic. Zanim dojdziemy do tego, żeby chcący ogarnąć całą Słowiańszczyznę musieli patrzeć na nią z polskiego punktu obserwacyjnego, trzeba w braku takiego punktu u nas, poszukać go gdzieindziej. Nie znajdziemy go ani w Petersburgu, ani w Wiedniu, i w ogóle nie wśród tych, którzy, według ogólnie przyjętego sposobu mówienia, decydują o losach państw i narodów.

Jedynym obecnie punktem, z którego obserwuje się całą Słowiańszczyznę, jest klasztor jezuicki na Welehradzie na Mora-

wach. Stamtąd widzą i świętą górę Athos i lodowe biełojezerskie monastery, rybackie łodzie kaszubskie i dalmackie, drwali na Szumawie i w Bośni, cerkiew na placu Saskim i niedokończony kościół Opatrzności Bożej. Widzą wszystko i słyszą; słyszą komendy różnojęzyczne i przejmujący do głębi śpiew polskich suplikacyj.

Chodzi tylko o to, czy dobrze widzą i dobrze słyszą? Widzieć można i we wklęsłem zwierciedle, słyszeć, myląc szmery uboczne z tonem zasadniczym.

To welehradzkie obserwatoryum jest właściwie genezy polskiej. Fundowane przez Zygmunta III, znane w historyi pod nazwą „unii brzeskiej“ — przeniesione jest obecnie na Welehrad i nazywa się dzisiaj ideą cyrylometodejską. Nazwa nie bardzo właściwa, bo ten cyrylometodeizm nie troszczy się nic a nic o pozostałości z dzieła ś-tych Cyryla i Metodego, i obrządek głagolicki jest mu raczej nawet wrogim; otacza natomiast opieką to, z czem święci apostołowie Słowiańszczyzny nie mieli nigdy nic wspólnego, t. j. obrządki (zawsze liczba mnoga!) grecko-słowiańskie. Mniejsza o nazwę. Chodzi o rzecz wielką, godną wielkich umysłów, o syntezę Wschodu z Zachodem.

Problem ten znany był już starożytnemu światu, Aleksandrowi Wielkiemu i Dyoklecyanowi. Granice kultury wschodniej a zachodniej zmieniały się rozmaicie, ale wśród tej zmienności można stwierdzić jedno prawidło: po każdej próbie „syntezy“ uszczuplał się teren Zachodu na rzecz oryentalizmu. „Synteza“ rozbijała się po krótkim stosunkowo czasie, a Wschód wychodził z jej więzów wzmocniony na nowe podboje.

Chrześcijaństwo zastało Wschód w Bizancyum i dostało w spadku borykanie się z siłą, której dotychczas zmóc nie zdołało, z antagonizmem mocniejszym nad miłość Krzyża. Cesarstwo bizantyńskie wolało rozpaść się i upaść, niż pogodzić się z latynizmem. Wiedziano, że tylko z zachodu może przyjść ocalenie, a jednak ludność nie dozwoliła przeprowadzić unii florenckiej. Sprawą pogodzenia Kościołów zajęła się Polska i szukała syntezy dwóch kultur tak długo, aż musiała upaść skutkiem tego, znienawidzona do cna przez ten sam świat wschodni, którego granicę posunęła daleko na zachód, aż po San. Do unii brzeskiej zajęci byliśmy szerzeniem kultury Zachodu i ludy wschodnie ulegały nam. Od unii brzeskiej ofiarowaliśmy nasze siły na rozsze-

rzanie kultury Wschodu i wzmocniliśmy żywioł wschodni tak znakomicie, żeśmy sami w nim śmierć znaleźli. Oto „synteza“!

Po rozbiorach Polski nastał złoty okres Oryentu w Europie. Zwycięski, tryumfujący, nie zdradził nigdy niczem, żeby pragnął „syntezy“. Wystarczało mu i wystarcza walczyć z kulturą Zachodu i tępić ją bez opamiętania. Welehradzcy „cyrylometodejcy“ ufają jednak, że uda im się żywioł okiełznać, udobruchać i pewnem przysposobieniem się do niego — opanować. Gdy unia brzeska będzie nietylko wznowiona, ale rozszerzona na całe imperyum rosyjskie, natenczas na tle syntezy Wschodu i Zachodu nietylko załatwi się snadnie spór polsko-rosyjski, ale cała kwestya słowiańska znajdzie rozwiązanie — oto program welehradzki. A skoro o unię chodzi, a więc na pierwszym planie ci, którzy są unitami, t. j. Rusini Galicyi wschodniej; oni bowiem są naturalnymi pionierami tej idei, heroldami nietylko błogiej przyszłości Słowiańszczyzny, ale nowego okresu historyi powszechnej, w którym nie będzie już antagonizmu Wschodu i Zachodu, przynajmniej nie będzie go w chrześcijaństwie.

Jak wiadomo, na całej Rusi Czerwonej jest jednak jeden tylko człowiek, który przystaje na tę Rusi unickiej rolę i chce unię szerzyć — a ten jedyny człowiek nie jest Rusinem, lecz Polakiem i wychował się w łacińystwie: Jego Ekscellencya ks. metropolita Szeptycki.

W stwierdzeniu tego faktu tkwi zarazem horoskop przyszłości welehradzkich zabiegów. Będą one postępować o tyle, o ile znajdą się Polacy, poświęcający się szerzeniu kultury wschodniej, w złudnej nadziei, że tędy wiedzie droga do syntezy, pokoju i miłości. Wszyscy inni, około wzgórza welehradzkiego zgrupowani, mogą być w tej sprawie tylko teoretykami. Jakoż zapowiada się z tej akcyi obfity plon dla nauki teologicznej.

* * *

Z prądem welehradzkim łączą się czynniki wyższe nad Słowiańszczyznę, patrzące na przebieg dziejów ze wzgórza wyższego nad Welehrad, z punktu, z którego widać ludzkość całą: z Watykanu.

Rozumowanie jest takie: Katolicyzm upada wśród ludów romańskich, a wśród germańskich jest tylko wyznaniem drobnej mniejszości. Trzeba się oprzeć na Słowiańszczyźnie i zrobić z niej

podstawę do misyj azyatyckich. Większość Słowian jest obrządku greckiego, a łaciński ma w nienawiści; należy więc uznać obrządek i dążyć tylko do unii. W ten sposób może papiestwo, pozbawione zachodniej i środkowej Europy, oparte jednak na nowych a jeszcze większych obszarach, zachować swą moc, a katolicyzm spełniać dalej swe zadanie. Jak niegdyś nie Rzymianie, lecz barbarzyńskie ludy uczyniły Europę katolicką — tak na ten okres dziejowy, do którego się zbliżamy, przewodnikami będą prawosławni Słowianie, skatoliczeni przez unię. Czesi pogodzą się najlepiej z Kościołem, gdy im się w czasie właściwym (po przyjęciu unii przez Rosyę) przyzna obrządek słowiański. Chorwaci przyjmą go dla jedności z Serbami, nieliczni Słowieńcy dla jedności z Chorwatami. A Polacy? Gdy patryarchat słowiański grecko-katolicki stanie się reprezentantem jedności słowiańskiej, Polacy, otoczeni zewsząd obrządkiem wschodnim, nie będą mogli nie przyjąć go. I stanie się w następnym okresie dziejów Kościoła obrządek grecko-słowiański głównym trzonem Kościoła, łaciński zejdzie na drugi plan. Istota Kościoła przez to się nie zmieni.

Tak rozumują Włosi, zajmujący się tą kwestyą. Horyzont mają rozległy, patrzą w przyszłość daleko i — ofiarują Słowiańszczyźnie naczelne miejsce w dalszym pochodzie świata katolickiego. Teorya o „zgniłym Zachodzie“ przyjmuje się mutatis mutandis także w pewnych sferach watykańskich.

Ale Zachód w oddzielonym od państwa Kościele we Francyi i w Anglii hoduje ziarna odnowionego katolicyzmu, które — gdy wzejdą i złączą się w dojrzałych kłosach z wypielęgnowanym w Polsce Kościołem ś-go Jana — dadzą ziarno, starczące na cały szereg następnych wieków na karm duchową chrześcijaństwa. Papiestwo nie będzie potrzebowało szukać sobie nowych fundamentów, a przenoszenie punktu ciężkości do unii nie mogłoby mieć innego skutku, jak nową schizmę. Katolicyzm „słowiański“, mniej kulturalny, bardziej dewocyjny, niż religijny — stałby się tylko narzędziem do rozszerzania kultury wschodniej, nominalnie na jakiś czas katolickiej, ażeby potem tem silniej na katolicyzm uderzyć. Słowiański patryarchat poszedłby kolejami swego poprzednika, bizantyńskiego. Ze stanowiska historycznego nie są też welehradzkie plany niczem innem, jak nieświadomem wytwarzaniem nowego Bizancyum, ale o setkę mil bliżej na Zachodzie.

Gra to wielce niebezpieczna. Przed ogromem niebezpieczeństwa lepiej ostrzegać zawczasu, dopóki daleko, daleko jeszcze do tego, żeby słowiański patryarchat miał stać się kwestyą aktualności. Obowiązek uczynienia wszystkiego, co tylko w ludzkiej mocy, żeby złamać zawczasu tak zgubny dla Kościoła program, spada na nas, Polaków. Mamy przedewszystkiem obowiązek ekspiacyi względem katolicyzmu za szkody, wyrządzone mu unią brzeską i horrendalnemi jej następstwami, rodzącemi coraz nowe potworności! Chcieliśmy dobrego, tworząc unię; ale dziś już wiemy, żeśmy się grubo pomylili. My, jedyni praktyczni około unii pracownicy, my, którzyśmy przypłacili nieszczęsne unii popieranie utratą niepodległości, mamy obowiązek otwierać oczy włoskim teoretykom.

Nie od rzeczy też będzie przestrzedz zawczasu przed złudzeniem, jakoby należało spodziewać się, że wszyscy Słowianie przyjmą w danym razie obrządek wschodni. Nawet w Czechach powstałyby w takim razie dwa Kościoły, a popewnym czasie: Kościół przeciw Kościołowi! Czyż można przypuścić, że wydanoby zakaz „łacińśtwa“ wśród Słowian? Skoro nie, a więc jak przekonać społeczeństwo zachodnie, a więc lubujące się w upraszczaniu form, do rozwlekłej i nudnej, bo strasznie formalistycznej liturgii wschodniej? Chorwaci przyjmowaliby może obrządek głagolicki, rzymsko-słowiański, ale grecki? A Polacy? Trzebaby chyba rzucić interdykt na cały naród polski, chcąc go skłonić do... oryentalizowania się. Choćbyśmy mieli zostać jedynymi łacinnikami w Słowiańszczyźnie, pozostaniemy nimi.

Mylą się bowiem grubo ci ludzie małej wiary, którym się zdaje, że „łacińśtwo“ skazane jest na upadek, że Europa zachodnia porzuci chrześcijaństwo, że rola katolicyzmu tam ma się ku końcowi! Te przewidywania, niby bardzo głębokie, ta polityka kościelna, chcąca być trwalszą ponad wieki zapomocą wieków uprzedzania — to gruba pomyłka serc trwożliwych. Szepty o zbliżającej się likwidacyi katolicyzmu na Zachodzie są zgoła niepotrzebne, a tak niebezpieczne dla Kościoła i papiestwa, że lepiej zwalczać je głośno, dopóki są szeptami, lepiej zawczasu dysputować o tem publicznie.

Z polskiej strony można obwołać tylko stanowcze veto przeciw temu kierunkowi.

* * *

Popierany z Watykanu energicznie „cyrylometodeizm“ skompromitował się trochę naiwnem postępowaniem w Rosyi. Rzeczy te są powszechnie wiadome, a przypominać je smutno, arcysmutno, choćby dlatego, że żal tyle poświęcenia i dobrej woli, wyprowadzonej w pole przez gruboskórnych oryentalczyków. I polskiej pracy znowu przy tej sposobności nieco zmarnowano; oby po raz ostatni!

Cyrylometodeizm welehradzki przycichł też o tyle w dwóch ostatnich latach, że nie występuje na zewnątrz niemal całkiem. Ale on jest i szerzy się; zaczyna nawet zyskiwać liczniejszych zwolenników wśród duchowieństwa polskiego. Trudno przypuścić, żeby prąd ten nie gotował się obecnie do drogi — na Bałkan.

Istotnie, po ograniczeniu turecczyzny do samego niemal Konstantynopola, kwestya stosunku do prawosławia bałkańskiego staje się nader aktualną, a to z tego prostego powodu, że lada dnia może powstać kwestya bazyliki św. Zofii.

Gdy na niej błyśnie na nowo krzyż, czyż to musi być znak prawosławia, nienawiści do Rzymu i katolicyzmu? Łacińskiego jednak krzyża nie łatwo się spodziewać — a więc media aurea via: Unia! I dla tej przyszłej unii otoczy się najczulszą opieką prawosławie! Teoretycy twierdzą bowiem, że byle tylko podnieść poziom studyów teologicznych u prawosławnych, sami unii zażądają; byle tylko udoskonalić Cerkiew, sama padnie w objęcia Kościoła. Praktycy (tj. Polacy, jako „wypraktykowani“) powinni przestrzedz, że skończy się wszystko na pierwszej połowie roboty, tj. na udoskonaleniu i utwierdzeniu prawosławia.

Dziś Bułgar jest areligijny, a Serb tylko zabobonny w swych oryginalnych praktykach religijnych. Własną siłą prawosławie nie odradzało się nigdy i gdyby nie szczególna, dziwnie czuła i zapobiegliwa opieka, jaką otoczono prawosławie w Bośni, losy jego, a wraz z niem całej kultury bizantyńskiej na Bałkanie, byłyby rozstrzygnięte. Będzie się miało pomimo to ku końcowi tej kultury, jeżeli tylko rządy austro-węgierskie zdecydują się choć teraz poprzestać na ścisłem równouprawnieniu wyznań w stosunkach bośniackich, nie przesuwając nic a nic punktu ciężkości na rzecz prawosławia. Wiadomo, że katolicyzm obchodzi się znakomicie bez opieki rządowej, a nawet wychodzi doskonale na tym „braku“ i byle mu nie ciskano z góry kamieni pod nogi, a pozostawiono swobodę — sam o własnych siłach rozkwita najlepiej.

Równouprawnienie nietylko mu wystarcza, ale jest żywiołem, w którym się rozwija. Inaczej schyzma; ta nie wytrzyma równouprawnienia z żadnem wyznaniem, tem bardziej z katolicyzmem. Bez posiłków władzy świeckiej skazana jest na zanik. Gdyby w samej Rosyi (właściwej), gdzie prawosławie jest religią narodową, a „łacińństwo“ przedmiotem najzacieklejszej nienawiści ogółu, zaprowadzono (naprawdę, faktycznie) równouprawnienie wyznań i przestrzegano go ściśle — w ciągu półwiecza prawosławie zeszłoby na drugi plan. Rzecz prosta: przy równouprawnieniu musiałoby się okazać, po której stronie wyższa żywotność. Skoro tak byłoby w głównem prawosławia ognisku i łożysku, cóż dopiero na półwyspie bałkańskim, w tej Bośni, gdzie rządy austro-węgierskie dopiero zrobiły z prawosławia prawdziwą organizacyę kościelną.

Polityka austryacka podkreśliła najpierw serbskość kraju, utwierdziła ją, wzmocniła, pogłębiła uświadomienie serbsko-prawosławne, a potem... zabrała się do zwalczania Serbii i dopatrywała się zdrady stanu na tle idei serbskiej. W ten sposób rząd drażni, zamiast dać zadowolenie. Niekonsekwencya w polityce wiedzie zawsze do podkopania własnego stanowiska. A któryż Serb zadowolonym jest z rządów „szwabów“ w Bośni i Hercegowinie?

Ale w niezadowoleniu tem łączą się z Serbami również Chorwaci. Przyczyną zasadniczą podobnież niekonsekwencya, którą ich drażniono przez tyle lat. Doszło więc w końcu do ciekawego objawu (pominiętego oczywiście milczeniem przez c. k. biuro korespondencyjne), pełnego historycznego znaczenia:

Działo się podczas „bezkrwawej wojny“, którą toczyliśmy z takim wysiłkiem w ciągu minionej zimy, a która jest dla zrujnowanej do cna Galicyi zaiste „wojną przeklętej pamięci“. Nawiasem mówiąc, czyż mało drażniono i nas, a może nawet najbardziej? i czy może to nie mieć następstw?

Kiedy król Nikita trzymał na włosku zaczepkę i zdawało się, że lada godziny wybuchnie wojna, która zacznie się od czarnogórsko-austryackiej, ogłoszono w Bośni i Hercegowinie stan wyjątkowy. Urządzono to tak, że dotyczył on właściwie tylko Serbów. Rząd (o niesłychane wydarzenie!) faworyzował Chorwatów, a przynajmniej robił, co mógł i jak umiał, żeby oni odnieśli wrażenie, że są faworyzowani.

Rozwiązał wszystkie stowarzyszenia serbskie, nie tykając

chorwackich. Ale co za zawód! *Hrvatski Dnevnik* stanął ostro przeciw rządowi w obronie Serbów [1]).

Dosadną tedy dano nauczkę sferom rządzącym.

Katolicyzm nie ma zresztą najmniejszego interesu w tem, żeby prześladowano jakiekolwiek inne wyznanie i nie pragnie bynajmniej być faworyzowanym: żąda tylko równouprawnienia, a resztę sam sobie dorobi!

Czy c. i k. rząd zdecyduje się teraz nie krępować katolicyzmu w Bośni? Równouprawnienie wyznań ma tam bowiem w sobie coś z konstytucyi rosyjskiej: i w Rosyi jest na papierze równouprawnienie, lecz biada każdemu księdzu, któryby nawrócił kogoś z prawosławia. W Bośni istnieje prawo nie pisane, nie dopuszczające „propagandy“ ani wśród muzułmanów, a cóż dopiero wśród prawosławnych! W ten sposób Austrya wstrzymała na Bałkanie rozwój kultury zachodniej, a wzmocniła wschodnią.

Zrobiła to samo, co niegdyś Polska nad Dniestrem i Dnieprem i — jak dotychczas — z tym samym skutkiem. To nie może już ulegać wątpliwości, że kultura bizantyńska na Bałkanie przeciwną jest Austryi, że Austrya pracowała nad tem, żeby wzmocnić siłę sobie wrogą. Jeżeli wiedeńskie dziwactwa polityczne potrwają nadal, może los Austryi być dalej coraz podobniejszym do losów b. Rzpltej i może się sprawdzić przepowiednia francuskiego statysty, że Austrya znajdzie na Bałkanie grób.

Jak dotychczas, nie dogodziła Austrya w Bośni ani katolikom, ani prawosławnym. „Cyrylometodejcy“ mogliby w najlepszej wierze wystąpić z propozycyą cudownego ziela, które w lot miałoby zadowolnić i jednych i drugich: Unia!

Głowa ruchu, J. E. ks. Metropolita lwowski, czynnym jest w Bośni oddawna [2]), spełniając jak najskrupulatniej (czem zawsze celował i celuje) obowiązki swoje, t. j. unijackiego księcia Kościoła, wierzącego nadto, że przyszłość katolicyzmu w grecko-słowiańskim unickim patryarchacie. Rozumie się samo przez się, że ktokolwiek wierzy w pożyteczność unii dla katolicyzmu, musi dążyć do zaszczepienia jej i na Bałkanie. Dotychczas nie można

---

[1]) Cały ten ustęp *Hrvatskiego Dnevnika* przytoczyliśmy w poprzednim zeszycie na str. 390.

[2]) Odczuwają to na sobie polscy osadnicy! Zob. artykuł prof. Jana Magiery: „Polacy w Bośni“, w zeszycie 86. z lutego 1912.

tego było robić inaczej, jak korzystając z wychodźtwa ruskiego, pokazując unię na żywych okazach. Ale działo się coś szczególnego, co świadczy, że sfery rządzące w zasadzie są za unią i żałują, że ze względów politycznych nie mogły zezwolić na „propagandę": Oto Rusini stali się uprzywilejowanymi osadnikami w Bośni, benjaminkami rządu; co więcej, i co jeszcze wyraźniejszą stanowi wskazówkę intencyj, że gdziekolwiek z Rusinami sąsiadowali Polacy, rząd zawsze postępował tak, żeby żywioł polski osłabić i o ile możności przeprowadzić go do cerkwi, zrutenizować go wyznaniowo, ażeby służył za wzmocnienie wyznania unickiego [1]). Jestto dotychczas jedyna „propaganda", na jaką rząd zezwala cerkwi unickiej, boć o to żaden polski polityk się nie upomni! Gdyby zaś unita spojrzał tylko na prawosławnego, coby to był za hałas i w sejmie bośniackim, a prawdopodobnie i poza Bośną! Na skromnem więc poprzestawać musiała dotychczas idea „cyrylometodejska" na Bałkanie.

Teraz jednak wszystko na Bałkanie zmienione, może się więc i Austrya zmieni? Jeżeli nie będzie się bała poprzestać wobec prawosławia na równouprawnieniu, mogłoby się zdarzyć, że zrazu zezwoli na propagandę unii, a potem będzie ją popierać. Propaganda ta, nie popierana przez Wiedeń ni Watykan, obdarzona tylko swobodą ruchów (co się jej należy w imię równouprawnienia), lecz nie przywilejami — byłaby zupełnie bezskuteczną. Należy jednak przewidywać, że nadanoby unii przywileje; nie wobec prawosławia wprawdzie (banoby się!), lecz wobec bezbronnego „łacińśtwa" (podobnie, jak jest w Galicyi, vide „Concordia"!!).

W tem wszystkiem nostra res agitur. Problem kultur na Bałkanie ma pewne styczne ze sprawą polską. Naszym interesem, a zarazem i obowiązkiem względem Austryi, podnieść zawczasu (póki nie zapadła decyzya!) głos ostrzegający:

Unia kościelna nie jest żadną syntezą kultur, ona należy wyłącznie do kultury bizantyńskiej! Czy się tę kulturę wzmacnia w czystem prawosławiu, czy w unii kościelnej — to z kulturalnego stanowiska zupełnie wszystko jedno. Z katolickiego zaś stanowiska jest unia największem i najgorszem złudzeniem.

Zdzisław Marycki.

---

[1]) Przypuszczam, że tylko o to chodziło i chodzi, wyłącznie o kombinacye religijne; łączyłaby się z tem jednak jako konsekwencya nieuchronna rutenizacya narodowa.

Petar Petrović

dramatyk serbski.

Coraz bardziej krystalizująca się wzajemność serbo-chorwacka nie odznacza się dotychczas zbyt bogatym plonem na scenie zagrzebskiej. Dawna tradycya, z epoki odrodzenia, kiedy utwory takich pisarzy, jak Matije Bana i Sundečića, Demetra i Popovićów, ukazywały się równocześnie na scenach obu części narodu, tak, iż trudno było rozstrzygnąć, do jakiej właściwie liteatury wielu z tych pisarzy należy: do serbskiej, czy do chorwackiej — ta piękna tradycya zaginęła niemal zupełnie z chwilą, gdy separatystyczne dążenia narodowościowe obu stron doprowadziły do gwałtownych walk politycznych, przenosząc je niebawem z dziedziny polityki do literatury, nauki i sztuki, do życia społecznego i towarzyskiego nawet.

Dopiero, gdy przeleciał przez Chorwacyę ten huragan szkodliwej i w najwyższym stopniu nierozsądnej walki, mszcząc się dotkliwie na obu częściach społeczeństwa serbo-chorwackiego wzmocnieniem wrogiego mu żywiołu madiarskiego, wówczas dopiero odżyły szlachetne tradycye łączności i braterstwa jednoplemiennej braci i poczęły się coraz żywszem rozlegać echem zarówno w literaturze, jak i w sztuce plastycznej i na scenie.

Po długiej przerwie w scenicznej „wzajemności" Serbów i Chorwatów, najnowsze dopiero czasy przyniosły jej ożywienie, a łącznikami głównymi obu scen narodowych stali się najwybitniejsi przedstawiciele dramatu: Ivo Vojnović i Branislav Nušić. Powodzenie utworów twórcy „Kneza od Šemberije" (1903. r.) było jakby zapowiedzią tryumfów Serbów na scenie zagrzebskiej; ono też otworzyło teatr chorwacki i nowej, nieznanej tutaj do r. 1904. serbskiej [1]) sile, Petrovi Petrovićowi.

Dramatem swym z życia ludu p. t.: Rkać [2]) poruszył Pe-

---

[1]) Zaliczam Petrovića do Serbów, ponieważ jest prawosławnym, pochodzi z serbskiej części Liki, uważa się za Serba, choć pracuje w Chorwacyi i wśród Chorwatów.

[2]) Rkać, jak objaśnia autor, jest to niezwykle silny chłop, olbrzym ciałem, wielkolud. Wyraz ludowy serbski, używany w Lice, która jest widownią dramatu. — Premiera dramatu odbyła się dnia 26. marca 1904. roku. Muzyczne partye kompozycyi V. Stahuljaka.

trović w swoim czasie cały Zagrzeb. Pierwszy krok autora był tak śmiały, tak pewny siebie, a tak zwycięski, że już wówczas wróżyć można było autorowi niezwykłą przyszłość na polu dramatycznem. Już w tym pierwszym utworze odnajdujemy wszelkie warunki i cechy dobrego dramatu z życia ludu. Przedewszystkiem głęboką znajomość nietylko języka i obyczajów ludu z okolic Liki, ale i jego duszy, jego filozofii życia, jego uczuć i namiętności, przesądów i wiary. Łączy zaś autor to z wielką prostotą i naturalnością, oraz jasnością w kreśleniu nietylko pojedynczych postaci, ale całych grup ludzi. W budowaniu dyalogów i scen charakterystycznych tyle tkwi życiowego realizmu i prawdy, tyle łatwości w prowadzeniu akcyi, że aż dziwić się trzeba, skąd w tak młodym pisarzu tyle doświadczenia scenicznego. Obserwacya zwłaszcza i znajomość duszy chłopa spotęgowały silny talent autora. Bystre jego oko wpatrywało się długo w świat wieśniaczy, wśród którego poeta się wychował i chwytało każdy najdrobniejszy odcień charakteru chłopa, każdy szczegół znamienny z codziennego jego życia i notowało je skwapliwie w duszy poety, aby potem, ożywiając wszystko w potężnej fantazyi, odtworzyć w dramacie po prostu i prawdziwie, tak, jak na nie patrzył, jak ich niemal dotykał.

To zamiłowanie w świecie ludowym i ta bystrość w obserwacyi była już widoczna w drobnych szkicach i nowelach Petrovića, których wyłącznym niemal przedmiotem jest wieś i lud licki.

R k a ć jest to, że użyję porównania, lew, albo raczej słoń ciałem i potężnymi muskułami, a jagnię czystą i potężną duszą. Nędzarz od dzieciństwa, bez rodziny, bez domu, prześladowany przez ludzi z powodu swej nadnaturalnej wielkości i ubóstwa, jest typowem dzieckiem przyrody, która jedyna umie dać mu ukojenie i spokój i przed którą on też umie otworzyć swą dziecięcą duszę. Żyje w nim instynktowna natura chłopska — olbrzymia, żywiołowa energia, która podrażniana bezustannie przez otoczenie, mimo całej miękkości uczuć i serca, znajduje wkońcu jedyne ujście w fizycznych wybuchach siły, nieraz w szale, czyniąc z tego, cichego zazwyczaj, jagnięcia, rozjuszonego lwa.

Rkać, ubogi i wyśmiewany przez wszystkich, kocha jednę z najbogatszych dziewcząt ze wsi, piękną Drenkę. I ona go miłuje, ale dumna ze swej piękności i lekkomyślna dziewczyna, wstydzi się przyznać do tego przed rodzicami i ludźmi; nadto, praktyczna, wie, że życie w nędzy niewiele warte, dlatego zawraca

ciągle głowę parobkom wiejskim, nie wyłączając i Rkaća, a wychodzi za mąż za bogatego Mladena. I teraz dopiero następuje właściwy dramat. Drenka nie może żyć z Mladenem, szuka towarzystwa Rkaća, który zachowuje się wobec niej całkiem biernie, chociaż miłość mu pierś rozsadza. Rodzice Mladena odgadują całą tajemnicę i oto dochodzi do ostrych zatargów i kłótni rodzinnych, w których wkońcu Drenka wyraźnie oświadcza, że żyć dalej z Mladenem nie może, gdyż kocha Rkaća. Mladen w przystępie rozpaczy zabija Drenkę, nad której trupem zjawia się Rkać. Ból jednak okropny i żal po stracie ukochanej targa tak jego duszą i sercem, że nie ma siły nawet zemścić się na Mladenie.

Jak wspomniałem już wyżej, „właściwy“ dramat zaczyna się dopiero z chwilą wejścia Drenki w dom Mladena. Fakt ten — ponieważ dzieje się dopiero w akcie czwartym — posłużyłby może komuś za powód do zarzutów i ujemnej krytyki utworu, mnie właśnie służy za podstawę do tem większej pochwały dramatu Petrovića; stąd też i zwrot powyżej użyty, „właściwy dramat“, nie jest stosowny, trzebaby raczej użyć w miejsce niego „zewnętrzny“ — że powiem dobitniej — „namacalny“. Jakkolwiek bowiem w pierwszych trzech aktach wyraźniejszej akcyi dramatycznej niema, to jednak dla umiejących patrzeć, widoczny i to silnie widoczny jest dramat — wewnętrzny. Czujemy z każdego słowa, z każdego ruchu i wejrzenia, czy Rkaća, czy Drenki, czy nawet Mladena, że strumień akcyi rośnie bezustannie, że namiętności wzbierają coraz bardziej i bardziej, że dramat się zaostrza gwałtownie, choć na pozór niewidocznie. Wszystko odbywa się gdzieś poza nami, gdzieś w głębi ukryte, w duszach bohaterów. Każde jednak drgnienie jego, każdy przypływ nowej jego fali odczuwamy, słyszymy niemal i widzimy. Akcya tu rośnie, jak górski potok. Stojąc nad jego łożyskiem, nie widzimy nic groźnego, ale gdy popatrzymy na kłębiące się czarne chmury w oddali, gdy posłyszymy wicher na szczytach gór i gromy piorunów, wówczas oczekujemy z niepokojem, że lada chwila burza zniszczenia spadnie i spłynie na cichą jeszcze dolinę. Jak potok górski, rośnie dramat tego utworu szybko, choć niewidocznie, gdzieś poza naszemi oczyma i spada dopiero w czwartym akcie, nagle, potężnie, jakby z pogodnego nieba, jak rozszalały wał wody, staczający się ze szczytów gór. Mimo więc pozornej ciszy, akcya rozwija się w istocie tak szybko i naturalnie, po prostu, choć bez żadnych nadzwyczajnych wypadków, że nawet nie spostrzegamy, jak szyb-

ko stajemy oko w oko przed katastrofą, przed którą cofnąć się już za późno. I to jest właśnie wielką zaletą utworu, to jest dowód talentu dramatycznego autora. Tak właśnie dzieje się w życiu. Ono płynie i płynie na pozór spokojnie i równo, zajmując nas i zabawiając tysiącami drobnostek i codziennych kłopotów i radości, aby tylko uśpić naszą czujność, a tymczasem w coraz ciaśniejsze pęta nas więzy losu i dopiero, gdy bezwładni popatrzymy przed siebie, okazuje się nam cała prawda w swem okrucieństwie.

Mistrzowsko jest przeprowadzone przy tem wszystkiem stopniowanie uczuć w Rkaću i zawikłania dramatycznego. Na końcu pierwszego aktu Rkać, który kocha Drenkę, ale walczy jeszcze z tą miłością, wiedząc, że do niczego ona nie doprowadzi — śmiechami i urąganiem zazdrosnych o Drenkę towarzyszów rozdrażniony, wpada w szał wściekłości i wywołuje brutalną bitkę, której nie chciał i której żałuje, ale która staje się dlań koniecznością, wyładowaniem na zewnątrz długo tłumionych uczuć. Scena też ta należy do najsilniejszych, a zarazem prawdziwie dramatycznych.

Akt drugi jest znowu momentem popisowym dla Drenki, choć Rkać zajmuje i dalej wybitne miejsce. Tu Drenka ukazuje się w całej pełni, jako typ lekkomyślnej, próżnej, niezupełnie złej, a więcej praktycznej dziewczyny. Rozkochana ona bardzo w Rkaću — ale duma i wstyd przed ludźmi nie pozwalają jej się przyznać do tego; dlatego chce wymódz wyznanie miłości na Rkaću. Kiedy ten jednak mocno panuje nad sobą, nie chcąc jej wyznać, ona szyderstwem i urąganiem truje go i tnie, jak osa, bezlitośnie, choć nieszczerze i do tego stopnia rozjusza długo milczącego niedźwiedzia, aż on wkońcu z wściekłości i żalu, rzuci się na nią z pięściami. Wstrzymuje się i zawstydza; gniew tłumi, póki Drenka nie odejdzie, ale wybucha na nowo po jej zniknięciu i wyładowuje go, choć w części, w sposób — znowu tak prosty, a tak świetnie przez autora pomyślany, tak naturalny, żywy, że innego niemal pomyśleć nie można. Gniewem kipiącemu Rkaćowi nawija się pod rękę mały pastuszek — na nim więc olbrzym swą złość wywiera. „Cóż się gapisz na mnie?“ — wrzeszczy na przestraszonego chłopaka i chwyciwszy go za ramię, zawija nim, jak snopem zboża. Tu zakończenie jeszcze brutalniejsze, niżeli w akcie pierwszym — ale tu już Rkać i słabszy wobec siebie samego.

W trzecim akcie Mladen poślubia Drenkę. Na wesele scho-

dzą się tłumy ludzi. Przychodzi i Rkać pożegnać swą ukochaną, życzyć jej szczęścia i prosić o przebaczenie, jeśli kiedyś cokolwiek wobec niej zawinił. W słowach prześlicznych, choć prostych, chłopskich, żegna się z Drenką — w słowach tak prostych, a tak potężnych, że słychać w nich okropny krzyk zrozpaczonej duszy Rkacia, co tłucze się po tej szerokiej piersi olbrzyma, jak młode, swobodne ptaszę wśród zamkniętych ścian więzienia — w słowach, co wyrywają się przemocą z ust nieszczęśliwego, łamiąc sobą, gniotąc, druzgocąc, gorzej od najcięższych skał, to potężne ciało — a teraz drżące, słabe, jak wiotki liść osiki. Ale Rkać pokonywa w sobie wzburzone uczucie, woła na głos i wmawia sam w siebie: „tak jest dobrze, tak trzeba, by było!“ wpada w radość — radość niepohamowaną, chorobliwą. Wszystkich pragnie tym szałem przejąć — chce taniec rozpocząć i poprowadzić „kolo“ (taniec narodowy) tak, jak on to umie, jak niegdyś wodził go z Drenką. — Ale, niestety, ludzie nie mogą unieść się jego szałem; Mladen i jego rodzice ciągną do domu, inni także rozchodzą się z powodu późnej pory. Rkać zostaje sam przed otwartym, wśród nocy, rozświetlonym kościółkiem... Ból go straszny zmógł i pada na ziemię i płacze, jak dziecię...

W czwartym akcie Rkać staje przed nami unicestwiony. Zjawia się dopiero w ostatnim momencie, po zamordowaniu Drenki przez Mladena. W pierwszej chwili wściekłość go z równowagi wyprowadza i stojąc nad trupem kochanki, wpatrzony błędnemi oczyma w jej zabójcę, szałem targany, rośnie w naszych oczach w jakiegoś nadludzkiego olbrzyma: wyciąga zaciśnięte pięści ku Mladenowi. Ale to tylko chwila. Podniesione pięści opadają bezwładnie, a blade usta szepcą nawpół przytomnie: „Zabiłeś ją i mnie — a zabitych bać się nie trzeba!“

Dłużej rozwiodłem się nad postacią Rkaća, jako bohatera dramatu i najlepszą kreacyą Petrovića, najbardziej plastyczną i skończoną. Kochanka Rkaća, Drenka, w niczem nie ustępuje głównej postaci. Charakter to również wyraźny i przejrzysty, skreślony w najdrobniejszych rysach z wielką prawdą i znajomością duszy wieśniaczej i do tego złożonej, pełnej pozornych sprzeczności duszy wiejskiej dziewczyny — rozwinięty po mistrzowsku, bez gwałtownych skoków i przemian, z umiarkowaniem, a i siłą zarazem, bez przesady brutalnego realizmu, a tak realnie, tak prawdziwie — po ludzku. Świetnie zwłaszcza przedstawiony rozwój uczucia miłości i poglądów na świat i życie u Drenki. I tu spo-

tykamy znakomite i konsekwentne, choć zręcznie przysłonięte, a życiem uzasadnione stopniowanie. W pierwszych dwu aktach Drenka jest tylko próżną zalotnicą, szukającą przygód miłosnych, z których sama zawsze wychodzi cało, a zazdrosnych o nią kochanków doprowadza do sporów i bójek. Ona tryumfuje, a tych biednych zalotników raczy stale uśmiechem i szyderstwem, przeplatanym zwodniczemi spojrzeniami lub czasem miękkością rozczulonego rzeczywiście na chwilę serca. W akcie drugim już zarysowuje się wyraźnie na jej czole zmarszczka obawy i niepewności przed przyszłością. Kiedy chwila ślubu z Mladenem się zbliża, a poważna (choć najsłabsza z całego dramatu) rozmowa z narzeczonym ściąga ją z obłoków miłosnych marzeń i lekkomyślnej niepamięci na grunt realny, dziewczyna pokonywa na chwilę trwogę, budzącą się w jej sercu, praktycznem, trzeźwem rozważeniem swej sytuacyi. Gorżkie jednak ziarno bólu i walki duszy, co z miłością do Rkaća padło w jej serce, kiełkuje szybko i mimo całego na pozór nieprzyjaznego usposobienia względem wielkoluda, wyrasta w bujny krzew piołunu, na którym zakwita czarowne kwiecie gorącej, lecz nieszczęsnej, bo zakazanej miłości.

Bruzda obawy przed przyszłością (w akcie 3.) pogłębia się jeszcze bardziej na czole Drenki. — Trwoga i niepewność zamienia się w coraz realniejsze cierpienie, które głęboką melancholią i tęsknym żalem rozlewa się po licu i duszy dziewczyny — melancholią na pozór cichą i spokojną, pod którą jednak kipi i wzbiera straszna walka natury południowej, niepohamowanej, walka, która nie zna granic, ni uciszenia, ale pędzi przed siebie na oślep, jak huragan i niszczy wokoło siebie wszystko, a wybuchnąć musi, choćby miała rozsadzić serce, w którem się wylęgła, lub przejść orkanem zniszczenia przez cały otaczający ją świat.

Tak Drenka z płochej, powszedniej zalotnicy przemienia się w poważną i głęboko pomyślaną postać tragiczną, a całe to jej przeobrażenie skreślone tak po mistrzowsku, że czyni na nas wrażenie nieuchronnej prawdy, jakiejś bezwzględnej, nieodpartej konieczności. Powiedziałem wyżej, że charakter Drenki — wyraźny i przejrzysty. Tak jest — jeśli mówimy o sposobie skreślenia go przez autora. Przedstawił go poeta wyraźnie i przejrzyście, choć w istocie swej jest bardzo złożony i na pozór niewyraźny, pełen sprzeczności i kontrastów, a dzięki temu i niełatwy do przedstawienia na scenie. Przy tem wszystkiem Drenka jest typem prawdziwym, rzeczywistym, wprost życiu skradzionym.

Mniej starania poświęcił autor opracowaniu Mladena, choć i tej postaci dramatu nie brak plastyczności, a czasem przemawia ona silnie i tragicznie. Typ to szlachetnego, uczciwego, z głębszem uczuciem wieśniaka.

Inne postacie dramatu zostawił autor na drugim planie, choć i tu widać znawcę wsi i ludu. Szczególniej wyróżniają się z pośród licznego tłumu starzy gazdowie, rodzice Drenki i Mladena, a także wiecznie wesoły Jevrem, prawdziwy „šalivdžija“ wiejski, jak nawpół z turecka nazywają Chorwaci ludzi, nigdy nie tracących humoru, mających na każdą chwilę, acz najcięższą, niewyczerpany zasób wesela i zdrowego, szczerego śmiechu. Zato sentymentalnością nieco trąci szereg zalotników Drenki.

Winno się jeszcze wkońcu zwrócić uwagę na oryginalną technikę utworów Petrovića. Trafnie określił tę technikę jeden z krytyków chorwackich; jego więc słowa tu powtarzam:

„Petrović opisuje uczucia na zewnętrznym człowieku, jak się one w ruchach, w wyrazie jego twarzy, w zachowaniu ciała wyrażają. To nadaje jego stylowi plastyczność. Bohaterowie jego opowiadań są posągami, którym autor daje odpowiednie tło w nastroju i środowisku. Występują one ostro i jasno z tego tła, ale zarazem zgodne i jednakowe z niem pozostawiają wrażenie“ [1]).

Taka treść pierwszego dzieła nowego dramaturga serbskiego [2]). Jest w niem coś z siły i tragizmu „Potęgi ciemnoty“ Tołstoja, jest coś z życiowej prawdy i głębokości myśli Heiermansa „Nadziei“, ale jest w niem i niewypowiedziany czar melancholii i pełna tęsknoty poezya, co się gołębiem skrzydłem unosi nad rozśpiewaną ziemią i ludem południowych Słowian. Pod względem artystycznym dzieło to pełne indywidualnych cech i nowych, oryginalnych rysów. Jako rzecz pierwsza, a tak piękna, wywróżyła autorowi wielką przyszłość na polu dramatu.

I krytyka chorwacka przyjęła Petrovićowego „Wielkoluda“ z jednogłośnem uznaniem, a częściowo nawet z entuzyazmem, co w chorwackich stosunkach literackich nie jest rzeczą zwyczajną. Pomijając zarzuty, dotyczące drobnych usterek w budowie dramatu, charakterystyce postaci lub pewnych scen rodzajowych, nie podniosła krytyka chorwacka ani jednego, silniej-

---

[1]) F. Z. Petrovićev „Rkać“. (Fejleton *Narodnih Novina*, 1904. r.).

[2]) „Rkaća“ drukowano w roku 1905. w czasop. art. liter. *Lovor* („Wawrzyn“). Knjiga I. Zagreb—Zadar—Split. MCMV. Str. 75., 109., 135., 207.

szego argumentu przeciw sztuce serbskiego dramatyka. I najostrzejsze oceny przyznają jej rzadką poprawność w konstrukcyi, wielką znajomość duszy chłopskiej, szczere i bezpośrednie uczucie, język piękny, plastyczny, a zwarty.

Lecz obok tych sądów powściągliwych, spotykamy się z ocenami, pełnemi najżywszego uznania dla poety i jego dzieła, i to ze strony krytyków wytrawnych i bezstronnych. Już wspomniany wyżej sprawozdawca *Narodnih Novina* oddaje serbskiemu pisarzowi pochwałę, jakiejby mu każdy dramatyk niezawodnie pozazdrościł. — Czyniąc obrachunek z kończącym się sezonem 1904. r., w zakresie rodzimego (sc. serbo-chorwackiego) dorobku w ciągu tego roku, twierdzi, że mimo wystawienia dość wielkiej ilości sztuk „domaćih" z większem lub mniejszem powodzeniem, „palmę zwycięstwa odniósł... Petrović".

Jeszcze bezwzględniejszem uznaniem darzy serbskiego poetę inny krytyk, Fran Tućan [1]), dla którego dostateczną rękojmią powodzenia dramatu Petrovića na scenie była nowelistyczna działalność tego autora, odźwierciedlająca „svu bol i potištenost hrvatskog mužika". Krytyk, który sam wzrósł wśród bajecznego świata lickiej przyrody i ludu, poznał jego niedolę i poezyę, „upojony" jest powodzeniem Petrovića w doskonałem odtworzeniu duszy lickiego wieśniaka, — duszy, a nietylko kostyumów i etnograficznych obrazków, jakiemi najczęściej przeładowane bywały sztuki serbo-chorwackie na tle ludowem.

I tu przytacza autor charakterystyczny sąd jednego ze starszych sprawozdawców teatralnych — sąd, godny powtórzenia i na tem miejscu, jako dosadna charakterystyka tego prądu w literaturze dramatycznej, jaki zapanował w Chorwacyi około r. 70-go, i tych zapatrywań na „narodowy charakter" dramatu, jakie były powszechnem credo wśród ówczesnej krytyki. Wedle mniemania owego recenzenta: „jeden jedyny fez lub chłopski opanak, które wniósł był na scenę zagrzebską Kuzmanović [2]), ma i mieć musi dla kulturalnych, narodowych i politycznych zadań teatru chorwackiego znaczenie większe, aniżeli wszystkie dzieła Ibsena i Hauptmanna razem".

---

[1]) Sprawozdawca *Hrvatskoga Prava*. Por. tamże fejl. o „Rkaću" z r. 1904.

[2]) Adalbert Kuzmanović (1863 — 1911) bośniacki liryk, nowelista i autor tendencyjnych dramatów ludowych na tle życia bośniackiego. (Vitropir, Za obraz, Zulumčar i i.). Por. o nim szkic Ljud. Dvornikovića w *Savremeniku* 1911. br. 4. Str. 248 i n.

Dzisiaj naturalnie uśmiechniemy się pobłażliwie nad tego rodzaju twierdzeniem, niemniej jednak jest ono znamiennem dla dziejów rozwoju chorwackiej sceny, a dramatu narodowego i ludowego w szczególności. Tućan umie pogodzić historyczne znaczenie tej oceny z ogromnem dźwignięciem się poziomu narodowej sztuki od chwili stworzenia sceny chorwackiej. Dlatego, nie obniżając znaczenia starej szkoły, zadziwiającej dzisiaj niemałą dozą poczciwej naiwności, staje na stanowisku bez porównania wyższem i żąda i z uznaniem podnosi u twórcy „Wielkoluda“, obok indywidualnej koncepcyi dramatu, talent odczucia, zrozumienie i przedmiotowe odtworzenie chłopskiej duszy.

Słusznie zaś podnosząc ten wybitny rys w twórczości Petrovića, idzie w, porównaniu jego talentu, jak na młodocianą, pierwszą jego próbę dramatyczną — może zbyt daleko, zestawiając go nie tylko z Gorkim, ale i z Turgeniewem, i powołując się na klasyczne słowa autora „Zapisków myśliwego“, co kazał szukać Hamleta w... zapadłym Szczygrowie i wołał: „Takich Hamletów wielu jest w każdym powiecie“...

Oczekiwania, pokładane w młodym poecie, nie zawiodły o tyle, że odtąd każde jego wstąpienie na scenę przynosiło dzieło szczerego talentu.

Barwne jego obrazki z Liki dawały zawsze kawał prawdziwego życia tej niesłychanie ciekawej części chorwackiej ziemi; odsłaniały nieznaną głąb duszy lickiego chłopa, a w rysach szerokich, pełnych rozmachu, fantazyi i jakiejś pierwotnej prostoty, kreśliły owe nieprzejrzane horyzonty wiejskie, na które składały się wieki bolu i cierpienia, junaczych porywów lub pieśni roztęsknionej.

Trzy jeszcze dramaty wyszły z pod pióra Petrovića po „Wielkoludzie“: Ruška („Różka“ 1905 [1]), Suza („Łza“ 1907 [2]) i Duše („Dusze“ 1910 [3]).

Mimo wspólności tła i całego szeregu motywów, które się stale w całej dotychczasowej twórczości poety powtarzają, każdy z nich zawiera wybitne, indywidualne cechy i każdy do pewnego stopnia był niespodzianką dla publiczności i krytyki, odsłaniając

[1]) Drama u 4 čina iz narodnoga života. Premiera dnia 19. stycznia 1905 r.
[2]) 4 slike sa sela. Prem. dnia 19. września 1907. r.
[3]) Drama iz seljačkog života u Lici. Prem. dnia 24. maja 1910. r.

nowe zasoby talentu pisarza i bogatą skalę dramatycznych w nim koncepcyi.

W porównaniu z Rkaćem najmniej może oryginalną okazała się Ruška, stanowiąc jakby pendent z pierwszym dramatem, do którego zbliża ją bardzo nietylko całe milieu utworu, ale sposób ujęcia i rozwiązania dramatycznego konfliktu, postawienia tytułowej roli w dramacie, oraz oparcie całej akcyi o problem nieszczęśliwej miłości. Toteż Ruška, od pierwszej chwili, mimo wysokich zalet artystycznych i krzepkiej, dramatycznej siły, spotykała się nieustannie — i częściej, aniżeli wszystkie późniejsze utwory Petrovića — z zarzutem braku oryginalności, względnie powtarzania się autora.

I zupełnie to zrozumiałe. Po daleko i za daleko idących entuzyazmach i rokowaniach na przyszłość z racyi Rkaća, oczekiwano powszechnie ze strony autora zupełnie czegoś nowego, a techniką i siłą dramatyczną przewyższającego pierwszy dramat. Zbyt górne nadzieje najczęściej mszczą się w zbytniej pochopności do rozczarowań. Tak się też stało i z Ruškią, która pod względem surowego materyału dramatycznego okazała się tylko jakby odwrotną stroną medalu. Gdy w pierwszym utworze skupił autor cały snop światła na niezrównanej postaci Rkaća-wielkoluda, w drugim dramacie rozpromienił nim bajeczną postać dziewki-Ličanki, Ruški, doskonałego typu wiejskiej zalotnicy, czarodziejki, rusałki w ludzkiem zjawieniu, przewyższającej o całe niebo mistrzowską charakterystyką bohaterkę pierwszej sztuki, Drenkę.

Zupełnie nowy motyw w dramacie — choć nie nowy w nowelach Petrovića — stanowi wprowadzona tu po raz pierwszy kwestya emigracyi, która, niby tajona w głębi boleść, płomieniem gorączki przepaja ideową treść dramatu i, jak ze wszystkich niemal obrazków tego poety, skarży się rozpaczliwie nad dolą ukochanej Liki. I ten właśnie nowy, a z natury swej samej głęboko tragiczny czynnik, podnosi znacznie wartość i znaczenie nowej sztuki Petrovića. Jakkolwiek ukryty w najdalszem tle i z całą dyskrecyą i subtelnością wprowadzony, dodaje utworowi, poza jego psychologiczną i artystyczną wartością, moc etyczną, która, zwłaszcza w tego rodzaju dramatach ludowych odgrywać powinna zawsze bardzo ważną rolę, byle nie ze szkodą ich artystycznych zalet.

Poza tym czynnikiem najogólniejszym, tkwią w „Różce“

te wszystkie walory, jakie podnieśliśmy już w „Wielkoludzie“. Wrażliwość prawdziwie poetyckiej duszy, czułej na najlżejsze tchnienia zbiorowej duszy ludu; umiłowanie i doskonałe zrozumienie tajemnych głosów ziemi, z której poeta sam wyszedł, której gwary uczył się za lat najranniejszej młodości, ze szczebiotem ptactwa nad kołyską i w skardze gęśli podwieczornej; czysta, świeża i niezepsuta mowa ojczysta, bujna swą nieokiełzaną swobodą, bogata samorodną twórczością, lotna fantazyą, plastyczna krzepką, zdecydowaną rytmiką — oto najcenniejsze wartości, z któremi Petrović tak szczęśliwie wystąpił już w pierwszych swych utworach dramatycznych: Rkaću i Rušce.

Na zupełnie odmienną drogę koncepcyi dramatycznej zeszedł autor w następnym utworze p. t.: „Łza“ (Suza). Nie można tej sztuki nazwać dramatem, jakkolwiek składają się na nią trzy dramatyczne obrazy, zakończone pogodną sielanką szczęścia i miłości w czwartym, końcowym. Nie zasługuje też pod żadnym względem na nazwę komedyi, a tem mniej tragikomedyi lub melodramatu, choć z tego ostatniego typu zapożyczyła cokolwiek tonów. Jest to jakaś swobodna, zrywająca zupełnie z szablonem sztuk zagranicznych, tetralogia dramatyczna, składająca się z czterech scen, związanych z sobą jedynie tłem najogólniejszem: życiem ludu wiejskiego z okolic Liki — i wspólnym blaskiem smutku i roztęsknienia, co bije na nie przez serdeczną, wielką łzę współczucia.

Zasadniczo wcale nie nowym jest pomysł Petrovića. Luźne sceny i obrazy, powiązane z sobą jedynie srebrną nicią idei autora, a zupełnie pozbawione nietylko jedności akcyi, ale wogóle wszelkiej w niej wspólności czy łączności, zdobyły sobie już prawo obywatelstwa na scenie, mimo krzyczącego lekceważenia przez nią tego, do niedawna koniecznego, kanonu sztuki dramatycznej. Pomysł malarsko-nastrojowych, luźnych obrazów na scenie jest już tak stary, jak starem jest prawo liryki na scenie, jakkolwiek do dzisiaj jeszcze stale przepędzanej przez wielu zwolenników „klasycznego dramatu“, nie uznawanej i lekceważonej.

Romantyzm otworzył jej faktycznie na oścież wrota scenicznej świątyni, posługując się z upodobaniem kalejdoskopową metodą obrazów i scen oderwanych, z których zaczarowanego koła nieokiełzana myśl poety kazała widzom wysnuwać wątek dramatyczny i szukać jego przejawów w całej galeryi światów ziem-

skich i pozaziemskich. Już w dramatycznej twórczości Mickiewicza, Słowackiego i innych naszych romantyków znajdujemy obfite próby tej metody rewolucyjnej, która zresztą — prawdę powiedziawszy — nie obcą była najbardziej postępowemu z klasyków, Szekspirowi, a nawet Arystofanesowi.

Późniejsze dzieje dramatu w ramach symbolizmu i neoromantyzmu jeszcze bardziej rozwinęły i pogłębiły ten nowy „schyłkowy" wedle wielu, styl w dramacie, zdobywając się na szereg dzieł o wyjątkowej sile i wartości, a doprowadzając do tak oryginalnej, szczytnej krystalizacyi, jaką przedstawia cała twórczość dramatyczna Wyspiańskiego.

Nie mniej i dramat chorwacki, — jakkolwiek o skali zawsze znacznie niższej, — nie pominął tej charakterystycznej w swym rozwoju fazy. Pierwiastek fantastyczny z jednej, a z drugiej liryczny, odegrały nader wybitną rolę już w starodawnym dramacie dubrownicko-dalmatyńskim XVI. i XVII. w., rozwiniętym pod tchnieniem niesłychanie wolnomyślnego w tym względzie renaissancu włoskiego. Nowsze zaś czasy w dziejach sztuki dramatycznej chorwackiej, zwłaszcza wobec braku klasycznego repertoaru rodzimego, często uciekały się do tej metody obrazowego symbolizowania i niedopowiadanych fragmentów, która ułatwiała zawsze stronę techniczną dramatu, a działała silnie na masy swym efektem tajemniczości. Niemniej i późniejsi uciekali się do pomocy tej samej metody: Preradović w czasie illiryzmu, a Kranjčević w dobie najboleśniejszego otrzeźwienia z ideałów romantyczności, obaj typowi lirycy refleksyjni, a zatem zawsze rwący się do ekspresyi dramatycznych, którym podołać nie mogli.

Najnowsze czasy wreszcie, zasługujące w twórczości południowych Słowian na najsłuszniejszą jeszcze nazwę chaosu ideowego, z którego nie wyłoniły się dotychczas w literaturze żadne, zdecydowane i silne pierwiastki twórcze, posługiwać się poczęły najswobodniej tą nową metodą liryczno-epizodycznej — jeśli można ją tak nazwać — koncepcyi dramatów.

Do poziomu prawdziwego artyzmu, czystej sztuki i natchnionej poezyi doprowadził ją jeden jedyny z współczesnych dramatyków serbo-chorwackich, Ivo Vojnović, z powodzeniem zaś większem lub mniejszem próbowało w niej sił wielu, — wielu niestety bezkarnie, w sposób łatwy i tani, efekciarsko-

humbugowy, nie mający wiele, abo nic wspólnego z pojęciem sztuki.

Do tych szczęśliwych ulubieńców szerszych mas, zdobywających powodzenie nie tyle wartościami artyzmu, ile zręcznością w opanowaniu technicznych trudności, sprytem, pomysłowością — należy także Milan Ogrizović. On to również, jeden z pierwszych w Chorwacyi, na większą skalę zastosował metodę lirycznych epizodów na scenie, odtwarzając bardzo popularną w swoim czasie tetralogię p. t.: Godina ljubavi („Rok miłości"), której poszczególne części, luźne zupełnie względem siebie, oddzielnie stanowią zupełne całostki, powiązane zaś są w wspomniany cykl nawskróś lirycznym motywem miłości i malarsko-nastrojowym symbolem czterech pór roku, dnia i nocy [1]).

Owóż bodaj, czy nie ta, wcale udatna, romantyczno-nastrojowa tetralogia Ogrizovića podsunęła Petrovićowi daleko głębszy pomysł jego: „Łzy". Zasadniczo pomysły i konstrukcya techniczna obu tetralogii bardzo pokrewne; u drugiego o tyle tylko całość bardziej zwarta i jednolita, że najogólniejsze tło: krajobrazu i środowiska ludu lickiego — wspólne wszystkim czterem epizodom dramatycznym, podczas gdy u Ogrizovića rwie się najzupełniej i wspólność miejsca i środowiska i czasu nawet (część druga n. p. sięgnęła aż do życia starorzymskiego!) Jak u pierwszego zaś motyw miłości, szczęśliwéj, czy nieszczęśliwej, spowija całość w półtony i półdźwięki nastrojów, wypływających z tego głównego uczucia, — tak też i u drugiego symbol łzy, jako motyw najwyższego napięcia dramatycznego i psychicznego, czy to pod wpływem szczęścia, czy nieszczęścia, stanowi pierwiastek zasadniczy, który, niby promień słoneczny przez chmurne obłoki, przebija złotawo-krwawym blaskiem.

Jeśli jednak, być może, w tym zarodniczym pomyśle Petrović uległ urokowi „Roku miłości", to w istocie swego czterodramatu pozostał oryginalnym i wiernym swemu dotychczasowemu artystycznemu i etyczno-moralnemu credo. Boć jakież to są łzy, które autor troskliwie chwyta w kielichy owej poezyi i pod tchnie-

---

[1]) Części poszczególne noszą nazwę: Proljetno jutro („Wiosenny poranek") pastel u 1 č. (Prem. 1. IV. 1903.). Ljetno podne („Letnie południe") slika iz rimskog svijeta u 1. č. (Prem. 28. IV. 1904.), Jesenie veče („Jesienny wieczór") romantika u 1. č. (Prem. 22. X. 1903.) i Zimska noć („Zimowa noc") dramolet u 1. č. (Prem. już całej tetralogii 19. III. 1907 r.).

niem głębokiej miłości i współczucia przemienia je w przejasne gwiazdy szczerej poezyi.

Pierwsza łza — to owa nigdy niewypłakana, najświętsza i najczystsza, najsmutniejsza i najgłębsza, bo w tęczy swej odzwierciedla całe niebo i piekło macierzyństwa: łza matki, której los odrywa od piersi dziecię jedyne, szczęście i pociechę jej ofiarnego życia. Druga łza — to niby symbol goryczy złamanego życia, to łza męża, co poznał brudy swoich namiętności, kłamstwo swoich porywów i niepowetowaną zbrodnię swego życia, która krzywdą najniesprawiedliwszą spadła na jego żonę, zabierając ją ze świata, a jemu zostawiając rozpacz i pogardę tego wszystkiego, za czem niegdyś rwał się, tęsknił. Ten obraz najsilniejszy bezsprzecznie pod względem dramatycznym, także pod względem ideowej koncepcyi, jak i technicznego przeprowadzenia, przewyższa trzy pozostałe sceny dramatu.

Trzecia łza — to jedna z wielu łza uwiedzionej dziewczyny, — pewnie tragiczna, niezawodnie bolesna i niezapomniana, ale może jeszcze najsłodsza z tych łez, któremi nieszczęście ludzkość karmi, — słodka wspomnieniem przeżytych rozkoszy, słodka pamiątką oddania się i miłosnego upojenia dziewczęcia, przed którego oczyma ginie potworna mara przyszłości w słonecznych obrazach szczęścia i kochanka, godnych tej najwyższej ofiary wstydu i poświęcenia. Jak powszechnie zwrócono uwagę, ten obraz najwięcej zawiera w sobie pierwiastku lirycznego; cały jest jedną, rozśpiewaną pieśnią smutku, cały jednym, nieutulonym żalem, dla którego niema już wyrazu dramat, ani scena, ale najcichsza i najbardziej samotna, w ukryciu od świata i ludzi skarżąca się „pjesma-žalosnica“... Prześlicznie też ją wyraził poeta, choć w tak prosty sposób, w tęsknej dumce čobanskiej (pasterskiej), co biegnie za odchodzącą w daleki świat dziewczyną i ciśnie jej się do uszu, wdziera do piersi i serca i rwie je w kawały słodyczą wspomnień miłosnych, krzykiem utraconego szczęścia.

Ostatnia wreszcie — to łza z innego już nieba; łza radości i szczęścia, łza z nadmiaru uczucia, dla którego niemasz już miejsca w piersiach ludzkich, ani słów w najwymowniejszych ustach, — uczucia, co rozrywa piersi, mózg i serce i gwałtem wydobywa się na wierzch w okrzyku radości, w spazmatycznym płaczu szczęścia, w najpiękniejszym uśmiechu — przez łzy.

A tem niespodziewanem zakończeniem dał Petrović dowód, jak bystrym i głębokim jest psychologiem, jak szczerze snuł myśl utworu z natchnienia i w jak serdeczne kryształy przetopił te cztery łzawe perły, co padły weń z duszy ludu, jego cierpień i radości.

Zdaniem naszem, Petrović doskonałem zakończeniem dramatu, niezrównanym obrazkiem słońca na tle bujnej, radosnej przyrody lickiej, od razu postawił utwór na poziomie prawdziwie artystycznego i psychologicznie głębokiego dzieła. Uchronił przez to swój dramat przed zalewem sentymentalności, która w poprzednich scenach kilkakrotnie zanadto wzbiera; wsparł go na żywej, naturalnej, życiu skradzionej prawdzie, której nic obalić nie zdoła, a która jest faktycznie takim nieskończonym łańcuchem śmiechu przez łzy i płaczu wśród śmiechów, jaki się w dramacie przedstawia. Na chmurami spowitą, ponurą krainę swego świata wpuścił wreszcie złocisty promień słońca, który od razu rozświetlił najciemniejsze jej kąty i w blaskach słonecznych obudził do życia te bujne, szerokie łany, te rozkwiecone pola, te lasy potężnie rozparte, wśród ich potęgi pierwotnej i uroku każąc zapominać o łzach, o nieszczęściu... Wszak nie inaczej bywa i w życiu. Najboleśniejsze łzy rozpływają się w rosę srebrzystą pod czarodziejskiem tchnieniem przyrody, tej nieśmiertelnej lekarki dusz ludzkich, — tej cichej spowiedniczki Miłości i Nieszczęścia.

Dr Tad. Stan. Grabowski.

(Dokończenie nastąpi).

Misyonarskie słówko.

(Czy to odezwa wyborcza zakonu Bazylianów?)

Czem jest unia kościelna w Galicyi wschodniej, co to za topiel złudzeń, jak wszelka treść uleciała z tej płonej (chociaż na zewnątrz ponętnej, bo pięknej) formy, przekonać się można aż do zbytku bolu, przeglądając piśmiennictwo cerkiewne. Referowaliśmy niedawno o dwóch tomikach charakterystyki żywiołu ruskiego na podstawie cytat z ruskiej wyłącznie prasy i z samych tylko ruskich broszur: A von Rädlitz: »Unter uns ohne Maske«. Lwią część smutnego materyału dostarczyła skrzętnemu zbieraczowi, niestety, publicystyka cerkiewna. Gdyby się znalazł kto, ktoby chciał kontynuować mozolną a grubo nieprzyjemną pracę tego »ukraińskiego« kolekcyonerstwa prasowego, zdaje

się, że przekonałby się niebawem, że ton pism księżych obrządku greckiego prostaczeje z roku na rok coraz bardziej, że poziom polemiki obniża się nieustannie, a zasób argumentów ogranicza się coraz uporniej do najprymitywniejszej umysłowości i... niewybredności.

Cerkiew dba i o doczesne dobra swych owieczek i to się jej chwali, stanowczo się chwali. Nie naszą rzeczą dociekać, w jakim działalność ta pozostaje stosunku do troski o dobra wieczne, a więc do głównej dziedziny kapłańskiego powołania. Odmawiając sobie prawa formowania pod tym względem jakiejkolwiek opinii, dodatniej czy ujemnej, ograniczamy się do tych spraw, w których godzi nam się kompetować o prawo głosu i stwierdzamy, że za zajmowanie się doczesnemi dobrami wyznawców obrządku grecko-katolickiego należy się duchowieństwu tegoż w zasadzie pochwała i uznanie.

Ale... wartość roboty zawisła od jej jakości. Robiąc źle, nie można zrobić rzeczy dobrej; zła metoda roboty zepsuje rzecz dobrą. Praca społeczna nie z mechanicznych składa się czynności, lecz bądźcobądź z duchowych. Zatrutym nienawiścią duchem nikt jeszcze nie dopomógł społeczeństwu, choćby chciał najszczerzej...

De internis solus Deus. Nie rozporządzamy probierzem serc, żeby wiedzieć, co ze złej woli idzie, a co tylko ze zbyt ograniczonego udziału w pewnych darach Ducha św., co ze złości, a co z lekkomyślności. Nie personas pragniemy castigare (nie jesteśmy przełożeństwem!), lecz tylko mores. Jako dokument, stanowiący przyczynek do jakości oddziaływania kleru ruskiego na lud i do poziomu umysłowego pierwszego stanu w narodzie (jakim kler ruski bądźcobądź jest w ruskim narodzie), podajemy poniżej w całości, w dosłownym przekładzie artykuł wstępny miesięcznika dewocyjnego, poświęconego specyalnie czci Najsłodszego Serca Jezusowego, *Misyonara*[1]), z czerwca 1913, p. t.:

»Zwidky bere sia bida i jak jei zaradyty?

»Wybory sejmowe, czy parlamentarne — to taka ważna sprawa, że musimy zająć się nią w końcu i w *Misyonaru*. Te wybory, to nietylko pewna sprawa polityczna, lecz sprawa, która musi obchodzić każdego człowieka, a zwłaszcza każdego katolika. Nieraz zdaje się niejednemu, że to błahostka, czy będzie głosować na tego lub owego posła. A jednak takie gadanie jest wprost niebezpieczne i nadzwyczaj szkodliwe nietylko dla całego społeczeństwa, ale nawet i dla tegoż samego wyborcy, który głos oddaje. Dlaczego? Uważajcie dobrze, a my wam to wyłuszczymy.

»My żyjemy w państwie, gdzie wszelkie prawa uchwalają nie cesarz lub ministrowie, ale właśnie ci sami posłowie, których my wybieramy. A wiadoma rzecz, że jacy posłowie, takie też prawa, które oni uchwalą. Jeżeli na posłów powychodzą dziedzice, bogacze i to jeszcze niesumienni, toć cóż oni uchwalą? Czyż może takie prawa, jakie będą dobre dla biednego człeka? Ale gdzież tam! Oni będą się

---

[1]) Wychodzi 17. rok, wydawany w Żółkwi przez Bazylianów, obecnie pod redakcyą O. Jakima Feszczaka.

starali uchwalić takie prawa, jakie dla nich samych najwygodniejsze, a ty biedny chłopie, skacz choćby w wodę, to ich nic nie obchodzi. Posłowie uchwalają wszelkie podatki i jeżeli posłowie nie uchwalą podatków, nie można tych podatków ściągać. A jeżeli uchwalą, toć może to prawo będzie tylko na posłów, a na drugich nie? Na wszystkich a wszystkich! I choćby kto schował się w lesie, choćby sobie wykopał jamę i w jamie siedział, niby jaki kret, to i tam wyśledzi go oko egzekutora i tam ściągną z niego ostatnią koszulę za podatki. Czy nie tak? No, powiedzcież sami! A widzicie! A czemu tak? Bo tak uchwalili niesumienni posłowie! I czy może prawo to nie da się we znaki temu, kto takich posłów wybierał? A pewnie, że mu się da we znaki, bo jakby wyborcy wybrali lepszych posłów, to ci posłowie nie byliby uchwalili takiego prawa. A któż temu winien? Wyborcy! Jakto wyborcy? Czy wszyscy wraz? Tak jest, i wszyscy razem i każdy z osobna, kto tylko głosował na takich posłów.

Nieprawdaż, że każdy z nas życzy sobie, żeby go urzędnicy nie prześladowali, żeby go szanowali, żeby z nim obchodzili się po ludzku, żeby każdemu było wolno zabić dzika, czy jaką tam inną szkodliwą zwierzynę, która mu niszczy zasiewy, i t. p.? Nieprawdaż, że tak? Nieprawdaż, że każdy z nas życzy sobie, żebyśmy mieli swoich nauczycieli ruskich, ruskie szkoły, ruskich urzędników, ruskich starostów, wójtów ruskich, ruską Radę powiatową i t. d.? Nieprawdaż, że tak? Nieprawdaż, że każdy z nas życzy sobie, żeby mógł łatwo otrzymać pożyczkę na mały procent, a na długą spłatę? Nieprawdaż, że każdy z nas chciałby, żeby dzieci nasze nauczano św. wiary katolickiej, bojaźni Bożej, poszanowania dla starszych, rzemiosła, kupiectwa, gospodarki i t. d.? Nieprawdaż, że każdy chciałby, żeby podatki były jak najmniejsze i żeby tych podatków, tej naszej krwawicy nie rozkradali panowie i nie marnowali? Nieprawdaż, że każdy z nas pragnąłby, żeby wszędzie były dobre gościńce, żeby na nich nie kaleczyła się chudoba i nie łamały się wozy? Nieprawdaż, że my nie chcemy, żeby tylko panowie dziedzice mieli głos, a biedny włościanin, to nie? Nieprawdaż, że my pragniemy, żeby wszyscy mieli jednakie prawa i jednakie obowiązki, żeby dziedzic szedł tak samo do kryminału, jak pobije chłopa, jak chłop, gdy pobije dziedzica? Nieprawdaż, że my wszyscy pragniemy, żeby dziedzic płacił podatki tak samo, jak chłopy?

A tymczasem cóż się dzieje! Pierwszy lepszy posiepaka pański tyka chłopa, poszturknie, bije, zabije go, a niełatwo dojść na nim prawa. Dlaczego? Bo wyborcy powybierali sobie na posłów polskich dziedziców, którym nie bieda chłopska w głowie. Ile to szkód narobią dziki po wiejskich gruntach chłopskich, a jednak nie wolno takiego szkodnika zabić, bo inaczej kara. Czemu to? Bo tak uchwalili sobie polscy panowie, żeby mieć na co polować. Czemu biednemu chłopu Rusinowi nie wolno upolować sobie jakiego zająca czy kozła, a panu wolno? Bo panowie dziedzice tak sobie uchwalili. Ty chłopie gryź suchą ziemię, a Polak będzie zajadać pieczenie. Czemu Rusini mają tylko 6 gimnazyów, a Polacy aż 70 (sic! siedmdziesiąt!)? Czemu wsie ruskie nie mają nauczycieli Rusinów, lecz tylko Polaków?. Czemu Rusini nie mają żadnej

szkoły 6-klasowej, ani wydziałowej, ani przemysłowej, ani uniwersytetu, a Polacy wszystko? Czemu nie mamy ani jednego starosty, ani jednego prezydenta sądu, ani nawet swojej Rady powiatowej, ani urzędników sądowych, ani przy namiestnictwie i t. d.? Czemu wszystkie banki krajowe, na które i my płacimy naszą krwawicę, są w rękach Polaków i Żydów? Dlaczego Rusinowi nie chcą dać dogodnej pożyczki w banku, ani drzew z lasu kameralnego? Czemu u nas drogi takie liche, jakich niema nigdzie w całej Austryi? Czemu każdy Polak ma prawo być w namiestnictwie, w ministerstwie, w sądach i trybunałach, a Rusin nie? Aha, dlaczego?

»Dlatego, bo nierozumni wyborcy za kieliszek gorzałki, za kiełbasę, za kilka żydowskich guldenów, głosowali na niesumiennych dziedziców polskich, a nie wybierali swoich uczciwych Rusinów katolików! Gdyby wyborcy nie byli się dali omamić ani panom, ani półpankom, ani rozmaitym Żydom, to teraz byłoby pewnie inaczej. Ale nierozumni wyborcy dali się nastraszyć, przekupić i powybierali na posłów Polaków, a ci znowu pouchwalali sobie takie prawa, jakie sami chcieli, a ty, głupi Rusinie, cierp teraz i oblizuj się!

»Polacy oczernili nas w Wiedniu przed Niemcami i innymi narodami, że z nas ludzie niedobrzy, że my nie jesteśmy wierni Najjaśniejszemu Panu, że ciągniemy do Moskala i t. d. A kto temu winien? Ci wyborcy, którzy wybierali Polaka na posła. Doszło do tego, że teraz i panowie polscy i polscy księża zawzięli się na nasz naród i usiłują z całych sił zrobić z niego Polaków.

»Niestety, nawet biskupi polscy, jak zobaczyli, że Rusini mieli obecnie otrzymać jakie-takie prawa w sejmie, narobili wielkiego krzyku i przez nich nie uchwalono praw dobrych dla naszego narodu. Za biskupami poszli polscy dziedzice ze wschodniej Galicyi i wszystko przepadło. Dlaczego przepadło? Bo za dużo było polskich panów, a mało Rusinów. A czemu mało? Bo ruscy wyborcy powybierali sobie takich Polaków, a nie wybrali Rusinów! To jedno.

»A teraz druga sprawa. Jeżeli poseł, choćby Rusin, niesumienny, gorszy on jest od nieuczciwego Polaka. Dlaczego? Bo jak Polak coś na Rusina wygaduje, to nie dziwota, bo oni wszyscy na nas wygadywali i wygadują; ale gdy Rusin na Rusinów nagada, wtedy wszyscy powiadają: »O, to przecież musi być prawda, bo swój na swego nie wygaduje«! Rozumiecie? A teraz słuchajcie dalej: Ot wybrali sobie nieszczęśni Rusini na posła T r y l o w ś k i e g o, radykała, który ani Boga, ani cerkwi katolickiej się nie trzyma, ale gdzie tylko może, tam zawsze idzie przeciw Bogu i przeciw cerkwi. Czy taki człowiek może dochować wiary swemu narodowi, jeżeli nie dochował Bogu? A posłuchajcie, co on zrobił! Gdy w parlamencie była mowa o Bośni, Dr. Trylowśkyj wystąpił przeciw swemu własnemu rodzonemu narodowi, przeciw Rusinom i tak nas obmalował, jak ostatnich lutrów, Kalwinów, Turków, jak dzikusów ostatniego rzędu. On powiedział, że nasi starzy wojacy byli tacy zaciekli, że »nastawili bagnety i tak znęcali się nad Turkami«[1]).

---

[1]) Tu redakcya „Swiata Słowiańskiego" musi się ująć za p. atamanem Trylowskim. Opowiadał on o „zbójnictwach" w Bośni pewnego pułku z Galicyi, bo się pomylił; myślał bowiem, że to pułk polski.

To łgarstwo nad naszym narodem było tak straszne, że o mało co aż sam minister Georgi nie dał w twarz Trylowśkiemu za to łgarstwo i aż sam minister stanął w obronie narodu ruskiego. A przez to łgarstwo narobił nam Trylowśkyj takiego wstydu, że nie obmyjemy się z tego do sądnego dnia, a wszyscy inni posłowie tak byli przez to rozsierdzeni na Rusinów, że odtąd nie chcieli dać Rusinom żadnego prawa.

Któż temu winien? Pewnie, że Trylowśkyj! A jeszcze kto? Ci wszyscy, którzy wybierali go na posła. A czemu Trylowśkyj tak postąpił? Bo on radykał, co nie wierzy ani w Boga, ani w Matkę Boską, ani w cerkiew katolicką.

A trzecia rzecz: Posłowie mogą uchwalić prawa jużto dobre, jużto bezbożne. Ot np. w Styryi uchwalili, żeby dzieci nie uczono w szkołach wiary św.![1]) I ot w parlamencie chcą uchwalić takie prawo, żeby ślubów nie dawał kapłan w cerkwi, ale wójt w kancelaryi i nadto, żeby człowiek mógł wypędzić żonę, a wziąć sobie drugą, jaką sam zechce, a żona zaś żeby mogła wziąć do siebie człowieka i żyć z drugim, choćby nawet z żydem. A któż chce uchwalić takie bezbożne prawo? Radykali, socyaliści, żydy i wszelacy niedowiarkowie!

I cóż wy na to powiadacie, Rusini katoliccy? Czy wy na to przystaniecie? Nigdy w świecie! A skoro na to nie przystajecie, cóż tedy macie robić? Co? Nie wybierać na posła ani jednego Polaka, ani jednego radykała, ani jednego Żyda, ani jednego socyalistę. Kogóż więc? Tylko szczerego Rusina-Ukraińca[2]) i to takiego, który jest zarazem i szczerym katolikiem. A gdyby był jaki kandydat na posła, chociaż i Rusin, ale nie katolik, to przepędzić takiego od siebie na cztery wiatry i niech nikt nie da na niego ani jednego głosu. Niech się nikt nie waży głosować na tego, co jest wrogiem naszego narodu i naszej świętej wiary katolickiej. To nie będzie z naszej strony żadną nienawiścią przeciw innym, lecz tylko spełnieniem świętego obowiązku, który nakazuje nam stanąć w obronie swego rodzonego narodu, a przedewszystkiem naszej św. wiary katolickiej i zarazem nie dopuścić do tego, żeby i wiara i obrządek i narodowość poniosły jaką szkodę.

My przez to nie odbieramy drugiemu jego prawa, lecz bronimy swego. Niechaj sobie wybierają Polaków Polacy — to ich prawo, ale niechaj Rusin katolik wybiera Rusina katolika, bo do tego my mamy prawo. I jeżeli Polak odbiera Rusinowi jego mandat poselski, to postępuje tak samo, jak ten, który obdziera drugiego z koszuli. My cudzego nie pragniemy. Niechaj Pan Bóg daje wszystkim, co najlepsze, my im tego nie zawidzimy, ale też domagamy się na podstawie wszelkiego prawa, i Boskiego i ludzkiego, żeby i nam nikt nie odbierał naszego prawa. Toteż jeszcze raz ostrzegamy wszystkich naszych rodaków: Nie głosujcie ani na radykała, ani na socyalistę, ani na Żyda, ani na Polaka, ani na moskalofila, bo inaczej wyrządzicie ciężką krzywdę swemu wła-

---

[1]) Nic o tem poza Żółkwią nie wiadomo. *Przyp. Red.*

[2]) Tu w całej odezwie raz jeden, jedyny, użyto wyrazu „Ukrainiec“, zresztą zawsze tylko „R u s i n“.

snemu narodowi! U kogo bije serce katolickie, ten niech głosuje tylko na uczciwego katolika-Ukraińca«.

Tak dosłownie »wygadali« się przed światem OO. Bazylianie z Żółkwi; opuściliśmy tylko liczne podkreślenia oryginału, mniejsze i większe, drukując wszystko jednakiem pismem.

Czemżeż różni się ta klasztorna odezwa od »radykalnej«? Różni się tylko pewną formalnością, a mianowicie wpleceniem w odezwę tu i ówdzie wyrażenia: »święty kościół katolicki«. Formalność bez znaczenia, skoro niema żadnej różnicy w treści wewnętrznej odezwy i w metodzie agitacyi.

Boć to nie jest artykuł, lecz odezwa, czy może raczej nawet mowa agitacyjna na zgromadzenie wyborcze. *Misyonar* podający wzór mowy agitacyjnej i to o nastroju radykalnym?! Wzór, jak należy mówić, podaje się niniejszem kapłanom unickim, jako prenumeratorom pisma. Takie miewać mowy zaleca parochom bazyliański *Misyonar*. Ma się wrażenie, że gdyby dać Bazylianom pozwolenie, rozjechaliby się z przyjemnością po powiatach z mowami według powyższego własnego wzoru. I kto wie, czy nie nadejdą czasy, że Bazylianie na okres wyborczy takie pozwolenie dostaną, a może się zresztą bez niego obejdą? Cerkiew tak się w naszych oczach radykalizuje, i tak przestaje zgoła być instytucyą religijną, że wcale nie jest dalekiem od rzeczy przypuszczenie, że się doczekamy agitacyjnej wędrówki mnichów unickich. Na razie jeszcze ograniczają się do układania mów dla szczęśliwszych, którym dano swobodniej »bronić cerkwi«.

Nie wszyscy wiedzą, co to za pismo, ów *Misyonar*, a więc przypatrzmyż się: Oto bezpośrednio po przytoczonym »artykule wstępnym« następuje artykuł p. t.: »Eucharystyczne serce Jezusa a grzesznicy«, potem opowiadanie o »skutkach Komunii św. u pewnego mnicha schyzmatyckiego«, poczem ciąg dalszy seryi artykułów o »rodzinie katolickiej a Przenajświętszem Sercu Jezusa«, a potem kroniczka p. t.: »Ze świata i z cerkwi«.

Ta rubryka godna uwagi. Na czele tłustym drukiem wiadomość następująca:

»Za Najjaśniejszego Pana. Nasi wojacy, stacyonowani w Rawie, przysłali 22 koron na nabożeństwo za naszego monarchę. To samo zrobili także wojacy 80. pułku piechoty, 15. kompanii z Newesina w Hercegowinie, przesyłając przez p. Wasyla Miszczuka 9 koron na nabożeństwo na 20 marca o zdrowie Najjaśniejszego Pana i swoje«.

Pomysł »tyrolsko-wschodni« bardzo ciekawy, w Tyrolu jednak nieznany; można za 9 koron, można i za 22; żeby zaś nie tracić nic osobiście, można ofiarować za zdrowie »Najj. Pana i swoje«.

Dalej mamy w kroniczce artykuł o »reformie wyborczej sejmowej«. Tu znowu czytelnik dowie się, jak wystąpili »wrogi naszego narodu, t. j. panowie polscy ze wschodniej Galicyi, wszechpolacy, moskalofile, żydy i, niestety, biskupi polscy«. Ich argument, że boją się zżydzenia miast, to »tylko tumanienie ludzi«, bo »żydzi tworzą z nimi jedną kompanię«. Zaręczono czytelnikowi, że »sam Najj. Pan bardzo sobie życzy takiej reformy wyborczej, jaka była

na porządku dziennym przed wystąpieniem biskupów polskich, a »przecież Najj. Pan jest szczerym katolikiem«. Pytali też »dobrzy ludzie« Ojca św., czy to prawda, że reforma wyborcza sprzeciwia się wierze katolickiej, ale »Ojciec św. odparł na to, że to nieprawda«.

Artykulik ten nie dla kapłanów pisany, bo na to zbyt »chytromudryj«, ale i dla kapłanów, żeby im wskazać, jak mają przemawiać do ludu. Bezpośrednio do ludu *Misyonar* oczywiście wyjątkowo się dostanie, choćby dla tej prostej przyczyny, że zbyt mało jeszcze jest umiejących czytać.

Wśród dalszych ustępów rubryki »Ze świata i z cerkwi« jest jeszcze notatka »Z Galicyi«, brzmiąca, jak następuje:

»Po długich korowodach i umowach naszych posłów z Polakami mieliśmy już dostać najwyższą szkołę, uniwersytet, ale rusinożerczy Polacy podnieśli taki rajwach, jak żydy na jarmarku i złamali słowo Tak ta nader ważna sprawa zabagniła się«.

Po kroniczce następuje, jakby nigdy nic, artykuł p. t.: »Marya i Eucharystya«, potem »Czytania dla ludu na każdy pierwszy piątek«, wiadomość o »św. męczenniku Agapicie«, jako »patronie na czerwiec 1913. r.« — a w końcu nowy dział miesięcznika, pod osobnym tytułem:

»Pisłaneć preświatoho serca Izusowoho. Namirenie w mołytwi na czerweń 1913. potwerdżene Sw. Witcem i pobłahosławłene«. Tu artykuł o »szerzeniu częstej i codziennej Komunii św.«, a potem »Podziękowania za wysłuchane modlitwy«.

A więc mamy do czynienia z ruskim »Posłannikiem Najsłodszego Serca Jezusowego« — z ruskiemi »Intencyami«!!!

Więc to tak wygląda po rusku kult Najsłodszego Serca?!

Ależ bo w każdej a każdej dziedzinie życia tak wygląda — unia kościelna! To stanowczo nie jest katolicyzm; to jakaś dzika agitacya, podszywająca się sprytnie pod firmę Kościoła, a drwiąca sobie w artykułach nietylko *Misyonara* z naiwności zelantów unii po stronie rzymsko-katolickiej.

Ze słowianoznawstwa polskiego XVI. wieku.

(Jan ze Stobnicy, Mateusz Miechowita, Polidamus, Marcin Bielski, Hieronim Spyczyński, Andrzej Węgierski, Jan Krasiński, Aleksander Gwagnin, M. Stryjkowski, Stanisław Sarnicki, Marcin Kromer, Bartłomiej Paprocki).

(Ciąg dalszy).

IV.

W r. 1550. wydał Marcin Bielski »Kronikę całego świata«[1]) wbrew powszechnemu, ówczesnemu zwyczajowi, w języku

---

[1]) Kronika wszystkiego świata na szesc wiekow, monarchie cztery rozdzielona, s kosmografią nową i z rozmaitemi królestwy... od początku świata, aż do tego roku, który sie pisze 1551.

polskim. Właściwie w dzieło swe wcielił kronikę Wapowskiego, przedstawiającą dzieje Polski, a od siebie dodał tylko wstęp, w którym rozprawia o różnych nazwach Słowian w czasach starożytnych.

»Piszą też nas rozmaicie drudzy historykowie: Roxany, Roxolany, Bolgari od Wołgi, Weneti, Antes, potem Bosni, Karni, Serbi, Rasci od Rusi, Dalmate, Sclavi, Illirici, Istri, Bemi, Poloni, a to wszystko jedni ludzie byli... Anižby to podobna rzecz była, aby ci ludzie słowieńscy, rozerwani, niemieli kiedy z sobą być w jedności, ponieważ i dziś będąc rozstrzelonymi po świecie jednę mowę mają wszyscy, choć drudzy między obcym narodem siedzą, swej mowy używają, choć jej nieco zodmieniano. Mam za to, że tak nie masz między nami żadnego głupiego, coby mnimał być inszą mowę ruską, moskiewską, serbską, czeską, niźli naszę; jednać to wszystko, po rozdzieleniu społecznim niedawno, słowa się w niej drugdzie zmieniły. Widziałem ja teraz Biblią polską starego pisania, w której więtsza połowica serbskich słów, a ta Serwia leży pospołu z Bulgarią i Bosną, w której despot mocnie panował, poki był od Turków nie potarł. Jeszcze i dziś ludzie wiele słowieńskich słów mówią, gosponie po słowieńsku gospodine, to jes panie, też co nam w rzeczach przychodzi mówić z słowieńska — iże prawi, to jest mówi, dzieci zowią po słowieńsku ojca tata, iż przyrodzona rzecz, jednych słów przestawamy mówić słowieńskich, a drugich się chwytamy, tylko sami Rusacy a Czechowie mało albo nic odmienili rzeczi w naszym jęziku« [1]).

Drugie wydanie Kroniki wyszło w 1554. r., a trzecie znacznie rozszerzone w 1564. W tem ostatniem rozpisał się Bielski dużo »O słowieńskich ziemiach« (karta 275, 291) przypominając, że »Serbowie, Dalmate, Wandali naszego języka ludzie«, — »O czeskim królestwie« (karta 318) na podstawie kroniki Hajka, — »O narodzie moskiewskim albo ruskim według wypisania Zygmunta Herberstyna« (karta 426).

W rozdziale »O polskim królestwie« przedstawił Bielski swe zapatrywania na stosunki Polaków z innymi Słowianami w historyi starożytnej:

»Pisali o nas postronni ludzie uczeni więcej, niż my sami o sobie... których (prac) doktor Kromer używał w pisaniu swojej Kroniki nowo wydanej, s pilnością się wywiadując początku a wywodu naszego słowieńskiego języka (karta 334)... Początek nadawniejszy nasz słowieński [2])... »Stąd się znaczy, iż ten naród słowieński był niegdy w jedności w tych krainach, którem pisał« (Misyi, Dacii, Dalmacyi, Illiryi, Pannonii, Liburnii, Istryi) [3])... A leżą nad morzem, które zowiemy adryatikum aż do Weneciej, słowieńskim językiem po wsiach mówią, a w mieściech po włosku, umiejąc oboje rzecz« [4]).

Dalej przytacza Bielski list Aleksandra, upoważniający Słowian do zajęcia wielkich obszarów i tak kończy [5]): »Także i dziś w tych kra-

---

1) Karta 152, str. 2.
2) Karta 335.
3) Karta 336.
4) Karta 337, str. 2.
5) Karta 338.

jach najdzie wszędzie słowieński język, począwszy od morza Lodowatego, które daleko za Moskwą jest, aż do morza Weneckiego, które zowiemy Adriatycum. Między któremi ty narody naszego języka leżą: napierwej od Moskwy począwszy, potym Rusacy, Polacy, Bolgary, Bosnowie, albo Serbowie, albo Rusacy wszystko to jedno, Dalmate, Illirycy, gdzie była Liburnia, Charwaci, Styry, Burgundy, Istri. Aczkolwiek wiele z tych obróciło się w cudzy obyczaj, jako Bolgarów, Bosnow, Racow, Charwatow w turecki, a Burgundów, Pomorczykow, Slezakow w niemiecki, a Istrow, Dalmatow we włoski. Wszakże ci wszytcy swego języka przyrodzonego, między narodem będąc, używają«.

Kronika Świata Bielskiego cieszyła się u współczesnych rozgłosem. Przetłómaczono ją na rosyjski już w r. 1584., wiadomości zaś o Słowianach przedostały się z niej do kronikarzy rosyjskich i serbskich.

Ten sam Marcin Bielski jest autorem »Kroniki polskiej« [1]), którą syn jego, Joachim, uzupełnił i wydał. Powtarza w niej bajeczne genealogie dawnych kronikarzy, o początkach narodu słowiańskiego, o Jafecie, Mosochu, Jawanie, Gelisie, Asarmocie, Wandalu i innych.

W osobnym rozdziale mówi »O Słowianach« (str. 11). »...Naród nasz słowieński, z którego my Polacy niewątpliwie idziemy«. Ludy słowiańskie dopiero za czasów rzymskich »jednostajnie sie Sławiany od sławy nazwali: jakoż i dziś wszystkie narody nasze to imię rady słyszą« (str. 12)... »Także jako Missią wielką opanowawszy Bulgarowie przezwali ją Bulgaryą od swego imienia; tedy też i Missia mniejsza nazwana jest Serbią, od Serbów albo Sorabów, też ludzi naszych; a gdzie była Liburnia, dziś Bosna; gdzie był Illiryk i Dalmacya, dziś Slawonia. I tak począwszy od morza Trackiego aż do morza Adryatyckiego tamte krainy wszystkie ludem swym słowieńskim napełnili, tak iż nie było tam nic, jedno słowieński język wszędzie... Jakoż tegoż narodu jesteśmy dziś Polacy, Czechowie, Ślęzacy, Kaszubowie, Ruś, Moskwa, Bulgarowie, Bosnowie, Serbowie, Dalmatowie, Illiryjczykowie, Karwaci, Racy, Styrowie, Istrowie i inni, aczkolwiek już ich dosyć obróciło się w inszy naród, jako Bulgarów, Bosnow, Racow, Karwatow w turecki; Piecoorców, Cyrkasow w tatarski; Pomorczykow, Ślęzakow w niemiecki; zasie Styrow, Istrow, Dalmatow we włoski. Wszakże jeszcze ci wszyscy języka swego przyrodzonego po wielkiej części używają, zwłaszcza po wsiach«.

Co się tyczy Polaków i Rusi-Moskwy, same podobieństwo językowe wskazuje na wspólne pochodzenie. »Ale jakoszkolwiek tedy sama jedność mowy nas i Moskwe jawnie wydaje, żechmy z jednego narodu z sobą poszli i przetosz spolnego musim być ojca dzieci« (str. 14).

Marcin Bielski w »Kosmografii«, dołączonej do »Kroniki Świata« (1550, 1554, 1564) opisuje niektóre słowiańskie ziemie, wspomina o nadwołżkiej Wielkiej Bułgaryi t. j. Bułgaryi między Azyą i Europą i twierdzi, że z tej Bulgaryi »pochodzimy my Słowacy«; o południowosłowiańskich ziemiach nadmienia, że niedawno rozerwane zostały na

---

[1]) Kronika polska Marcina Bielskiego. Nowo przez Joachima Bielskiego, syna jego, wydana. W Krakowie 1597.

wiele części; przedstawia także historyę Bośni, opisuje koronacyę książąt korutańskich. W Saksonii, Brandeburgii i na Pomorzu żyli niegdyś ludzie naszego słowiańskiego, polskiego języka, a do dziś pozostali po nich tylko Serbowie; w Czechach, ziemi płodnej, mówi naród słowiańskim językiem; są tam słynne miasta i zamki, które Czesi nazywają po swojemu, a Niemcy znowu odmiennie.

Do trzeciego wydania swej Kroniki i Kosmografii (1564) dołączył Bielski, na podstawie Herbersteina rozprawkę »o moskiewskim albo ruskim narodzie«, »tak nazwanym od rzeki i miasta Moskwy«. »Rusacy albo Moskwa są Ruś prawa, wszyscy słowieńskiego języka«. Ruskie ziemie rozciągają się między górami Beskidami, morzami: Czarnem, Bałtyckiem, Lodowatem, Północnem i Wołgą. W nich panują: książę moskiewski, litewski i król polski.

Kronika M. Bielskiego wraz z Kosmografią została przełożona dość wcześnie na język rosyjski i za pośrednictwem tego przekładu dotarła nawet do Serbów.

V.

Nietylko polscy historycy, ale i inni pisarze z dumą podkreślali to, że Polacy są narodem, należącym do wielkiego słowiańskiego plemienia. Tak np. Hieronim Spyczyński w dziele: O ziołach tutejszych i zamorskich i mocy ich, a k themu księgi lekarskie wszem wielmi użyteczne, Cracoviae 1556, wychwala naród polski, jako ten, który przewyższa inne narody różnemi dobremi cechami. Książkę swą treści przyrodniczej zakończył Spyczyński ustępem politycznym pt.: »Polskiemu narodowi Hieronim Spyczyński wiele dobrego« (kartka 247, str. 2).

»Ażasz u Aleksandra Wielkiego, jen był języka naszego, mało nie wszystkiego świata władza była i czego dotychmiast na świecie pamiątka została, bowiem byś też wszitek świat chciał skrzyżować, wszędzie najdziesz temu językowi Słowaka towarzisza. Też w narodzie w tym slachetnym wiele cnych, cnotliwych, a świętych było. Kościół chrześcijański temu samemu słowieńskiemu językowi jakby dufając, dopuścił msze i inne urzędy kościelne sprawować«.

VI.

Wielkopolanin, Andrzej Węgierski, zajmował się historyą kościelną Słowian i pod pseudonymem Adrianus Regenvolscius wydał w 1562. r. w Utrechcie dość obszerne dzieło: Systema historico-chronologicum ecclesiarum slavonicarum, per provincias varias, praecipue Poloniae, Bohemiae, Lituaniae, Russiae, Prussiae, Moraviae etc. distinctarum.

Węgierski opowiada o chrzcie Bułgarów i innych Słowian południowych, Czechów, Polaków, o początkach husytyzmu w Czechach i rozprzestrzenieniu się jego w Polsce, o Jednocie Braci Czeskich, o reformacyi w Polsce, Litwie, wśród Słowieńców i Chorwatów, w końcu o chrzcie Rusi i ruskim Kościele.

Dzieło Węgierskiego zawiera wiele braków i błędów, ale zasługuje na uznanie, jako pierwsza próba zebrania w całość ważniejszych wypadków z życia kościelnego nie jednej tylko Polski, Litwy i południowo-zachodniej Rusi, lecz wszystkich narodów »słowiańskiego języka, który rozpowszechniony szeroko i daleko w Europie i w Azyi w różnych narzeczach«.

VII.

Jan Krasiński w opisie Polski (Joannis Crassinii: Polonia, Bononiae 1574 r.) mówi o rozprzestrzenieniu się Słowian, do których zaliczył i Czerkiesów i Piatyhorców, mieszkających w państwie moskiewskiem. Wszystkie te narody używają języka słowiańskiego, którego narzecza mało różnią się od siebie. Język ten słyszeć można i w Carogrodzie, a lubią go i sami Turcy.

»A Polonia dicti sunt Poloni. Polonos autem slavicam seu slavonicam gentem constat esse«. (Str. 10.).

»Slavicae linguae usus hodie quam latissime patet. Ut slavica gens, ita et slavonica lingua per innumeras fere terrarum orbis regiones propagata est. Dalmatae itaque, Bosnenses, Servi, Bulgari, Mysii, Rasciani, caeterique Bizantium usque, Istri, Carni, Carniolani, Carinthii Vindae mari Balthico vicini populi, Pomerani, Boemi, Moravi, Lusacii, Silesii, Roxolani, Moschi, quorumque in Asia et in Europa latissimum est imperium, Circasii, Quinquemontani ad Pontum habitantes, denique ipsi, de (quibus) scribimus, Poloni, slavonicae gentis nomen agnoscunt, slavicaque lingua, quamvis variantibus inter se aliquantum dialectis utuntur«. (Str. 15).

* * *

Aleksander Gwagnin w historyczno-geograficznym opisie wschodniej Europy p. t.: Sarmatiae europeae descriptio (1578) a więcej jeszcze w powiększonem polskiem wydaniu: Kronika Sarmacyej europejskiej (1611)[1]) wiele mówi o Jafetowiczach, Sarmatach-Słowianach, którzy żyją między morzami: Lodowatem, Śródziemnem, Adryatyckiem, Czarnem i Bałtyckiem; słowiańskie narzecza różnią się jednak formami słów i wymową. Obszerne dzieło Gwagnina, traktujące o historyi i geografii nietylko Sarmacyi, t. j.: Polski, Litwy, Rusi, Moskwy, lecz także ziem sąsiednich, Skandynawii, Germanii, Czech, Węgier, Grecyi, Wołoszczyzny, ziem południowo-słowiańskich i innych, przez długi czas było głównem źródłem o Słowianach. Było ono także znane w Czechach i na Rusi.

Na początku dzieła umieścił Gwagnin »wywód i początek starożytnego i walecznego narodu sarmackiego, z którego Polacy i wszyscy Słowianie początek i rodzaj swój wiodą«. (Str. 11).

»Te narody sarmackie, jako się na wiele a różnych prowincyj rozdzielają i różne nazwiska mają, tak się też w różnych językach

[1]) Kronika Sarmacyej europejskiej... przez Aleksandra Gwagnina, przełożona z łaciny przez Marcina Paszkowskiego. Kraków 1611.

radzi kochają, według odległości ziem i krain, chociaż wszyscy są jednego narodu i języka słowiańskiego. Albowiem Moskwa od Rusi mało co różni się od siebie w mowie. Ruś też od Polaków i Mazurów wtąż. Ale Bohemczykowie z Karwatami jakimsi wyraźniejszym kształtem mowy i słow niektórych odmianą, więc też i akcentami się odmienią tak, żeby też czasem jeden drugiego trudno miał zrozumieć, gdyby w społecznej przyjaźni z sobą mieszkali, a jeden drugiego języka nieświadomy był«. (Str. 18.).

»Ciż to tedy Słowianie ku takiej szerokości przyszli, iż niemal pół Europy i pół Azyi trzymają. Albowiem też w tym narodzie liczą się nietylko, którzy Dalmacyą, Illiryk, Karpat, Istryą i węgierskie góry trzymają. Ale wszystkie insze we wschodnich i północnych krainach najmężniejsze narody i najwietsze i którekolwiek słowiańskiego języka używają, jako to: Bulgary, Bosnacy, Serbowie, Karwaci, Iliryjczykowie, Karnowie, Istrowie, Racowie, Dalmatowie, Styryjczykowie, Ruś, Morawianie, Bohemowie, Czechowie, Polacy i inszy. A we wszystkich tych prowincyach, od oceanu lodowatego aż do morza międzyziemnego i adryatyckiego lud języka słowiańskiego najduje się... Ci wszyscy chociaż między obcemi narody rozsiali się i rozproszeni są, ojczystym jednak językiem a zwłaszcza po wsiach słowiańskim, nieco odmieniwszy, mówią«. (Str. 19.).

Opisuje potem Gwagnin szeroko geografię Rusi, Moskwy, a w księdze IX. ziemie słowiańskie: Illiryę i Dalmacyę, królestwo boseńskie i Bulgaryę.

(Dokończenie nastąpi).

Edmund Kołodziejczyk.

Przegląd prasy słowiańskiej.

W prasie **czeskiej** już niejednokrotnie prof. Č e r n ý zabierał głos w sprawie stosunków polsko-rosyjskich, a zawsze z widoczną dla nas sympatyą i objektywną oceną podłoża konfliktów i warunków, w jakich płynie życie polskie w Królestwie. Tym razem (*Čas* Nr. 151.), oświetlając kwestyę samorządu miejskiego, pisze prof. Černý co następuje:

»Zbyt wcześnie pisałem o nawoływaniach rosyjskich do ugody z Polakami. Głosy te były zupełnie zrozumiałe w czasach ruchu wolnościowego Słowian bałkańskich i grożącej wojny z Austryą, — a przecież zaznaczyłem swe wątpliwości, żeby sfery decydujące w Rosyi dały posłuch owym nawoływaniom; zwróciłem uwagę na to, że rząd i nacyonaliści zdradzają raczej chęć tem większego drażnienia uczuć polskich.

»Rzeczywistość usprawiedliwiła mój sceptycyzm w mierze znacznie większej, przechodzącej me oczekiwania.

»Od szeregu lat zasłaniali się rosyjscy rządowcy i ich sprzymierzeńcy w Słowiańszczyznie wielkim atutem przeciw sceptykom w stosunku do sporu rosyjsko-polskiego — atutem rzekomej dobrej woli

Rosyan względem Polaków, którym ma być przecież dany samorząd miejski w Królestwie Polskiem. Sceptycy wątpili, że atut zostanie użyty, a jeśli nawet i to przypuszczali, przypisywali mu względną wartość. I oto obecnie owa tajemnicza karta została rzucona, — okazuje się, że sceptycyzm nietylko nie rozwiał się, ale zabił resztę wiary w możliwość ugody rosyjsko-polskiej. Sformułowanie projektu samorządu miejskiego dla Królestwa Polskiego jest tego rodzaju policzkiem, wymierzonym wogóle idei wzajemności słowiańskiej, że z niego biedna idea, która odzywa się z ust rosyjskich na bankietach przy szumnym szampanie, nieprędko się opamięta. Ugoda rosyjsko-polska w świetle dyskusyi nad projektem w Radzie Państwa istotnie jest pustą fraszką«.

»Dlaczego«?

Tu prof. Černy rzeczowo oświetla całą genezę projektu samorządu miejskiego. poszczególne jego stadya, dyskusye, ostateczne sformułowanie, w którem wykazuje całą perwersyę sfer rządowych i nacyonalistów, a wreszcie ironicznie nadmienia:

»Niewdzięczni Polacy, wiecznie niezadowoleni! Od czterdziestu lat domagają się samorządu miejskiego, — a kiedy »konstytucyjna« Rosya im go daje, głosują przeciw niemu! A nie dość na tem, wyraźnie oświadczają, że każdy Polak musi go odrzucić«.

Przytaczając w tym względzie opinię społeczeństwa polskiego, z ironią zapytuje autor:

»Czyż nie są to wichrzyciele«?

»Ale żarty na stronę, chociaż są cierpkie i rozgoryczone. Sprawa przedstawia się w ten sposób, że Rosyanie (obecnie już nietylko sam rząd rosyjski, ale i Rosyanie, arcynacyonalistyczni) po wielu obietnicach, z których trochę naiwni i trochę nieświadomi sytuacyi ludzie wyciągali wnioski, że Polakom da się ustępstwa i zadość sprawiedliwości, — ofiarują Polakom »samorząd« miejski, który mógłby być li tylko nowem narzędziem rusyfikacyjnem w Królestwie Polskiem«.

»A to dzieje się w czasach, gdy Słowianie bałkańscy dali światu nowy dowód, że istnieje historyczna Nemezis«.

»Głos Słowian w Rosyi nie może być obojętny wogóle dla Słowiańszczyzny. Niesłowiański czyn rosyjskiej Rady państwowej powinien wzbudzić echo po całej Słowiańszczyźnie«.

W Czechach stosunki polsko-rosyjskie oświetla się przeważnie dość mglisto i z pewną widoczną rezerwą, aby nie urazić przypadkiem »pobratymców« z nad Newy; przeto głos prof. Černego, odrzucający tego rodzaju uboczne względy, zaiste musi nas cieszyć.

Ciekawy artykuł pióra prof. L. Niederlego, w odpowiedzi na oświadczenia bułgarskiej i serbskiej Akademii Umiejętności w sprawie macedońskiej, znajdujemy na łamach *Národních Listu* (Nr. 151) p. t.: »W sprawie sporu dwu Akademii o Macedonię«. Prof. Niederle traktuje swój artykuł jako odpowiedź, albowiem bułgarska Akademia, oświadczając swe stanowisko w kwestyi etnografii Macedonii, powołuje się na »Encyklopedyę filologii słowiańskiej« i pracę czeskiego uczonego. W oświadczeniu serbskiej Akademii Ljuba Stojanović

zaznacza zaś, że Akademia bułgarska stronniczo komentuje materyał naukowy. Prof. Niederle był zatem upoważniony do wygłoszenia własnej opinii, a zaznaczając, że w swem dziele uwzględnił żywioł serbski w Macedonii północnej, przechodzi do meritum sprawy:

»Muszę powtórzyć to, co napisałem kiedyś obszerniej w »Kwestyi Macedonii«, a co jest treścią artykułu w I. tomie »Encyklopedyi«, że w rzeczywistości, według wyniku badań dotychczasowych, Macedonia jest ziemią bułgarską, a serbska polityka zrobiłaby lepiej, gdyby w celu udowodnienia racyi swych żądań nie powoływała się na argumenta etnograficzne, albowiem tego rodzaju stanowisko nie może zjednać sobie posłuchu i uznania, ponieważ właśnie z dotychczasowych badań wynika fakt, że Macedonię zamieszkują przeważnie Bułgarzy. Prędzej już znaleźć może posłuch jej stanowisko polityczne. Zresztą Serbowie sami zdają sobie z tego sprawę, a z ostatniej mowy Pašića i oświadczenia Stojanovića wynika, że moment etnograficzny usuwają na plan drugi, a żądając rewizyi umowy serbo-bułgarskiej, kładą nacisk główny na moment polityczny i twierdzą: interesy państwowe wymagają posunięcia się Serbii na południe bez względu na to, jaki jest etniczny charakter Macedonii«.

»To jest przynajmniej stanowisko zrozumiałe, a nie trzeba tu powoływać się na argumenta, że Macedonia nie jest ziemią bułgarską i negować lub osłabiać pod adresem Akademii bułgarskiej to, co napisałem w Encyklopedyi. Nie mogę robić ustępstw. Książka moja nie mogła być wyczerpującem i decydującem studyum o charakterze etnicznym Macedonii, ale napisałem ustęp o Macedonii według źródeł całej znanej mi starszej i współczesnej literatury, a więc zreasumowałem wyniki badań dotychczasowych. Racya, że wynik owych badań świadczy na korzyść bułgarskości, lecz stało się to właśnie w skutek miarodajnych w tej dziedzinie studyów. Tu nie mogłaby poczynić zmian żadna akademicka ankieta naukowa, ponieważ konstatowałaby tylko to, co było już skonstatowane i uznane przez badaczy naukowych, a mianowicie, że mieszkańcy Macedonii pod względem językowym i narodowościowym są pasem przejściowym od rdzennej Serbii do Bułgaryi, lecz, że jednocześnie na tym gruncie zamieszkała ludność z dawien dawna oficyalnie i w znacznej swej większości czuła się przynależną do narodu bułgarskiego, sympatyzowała i jednoczyła się z dążeniami odrodzenia bułgarskiego, polityki bułgarskiej i bułgarskich dążeń kościelnych, — słowem, istniało tu poczucie bułgarskości aż do czasów najnowszych, kiedy serbskiej propagandzie, korzystającej z rozłamu cerkiewnego w r. 1870. udało się w kraju północnym pozyskać na swą stronę część ludności i orzec, że znajduje się tam element serbski. Nie małe odchylenia językowe lub pewne zwyczaje etniczne, ale stare tradycye i świadomość narodowa składają się na bułgarski charakter Macedonii, a ten pozostanie bez zmiany, pomimo twierdzenia Stojanovića, że np. sam Jagić upatruje w Macedonii dyalekty przejściowe. Trudno znaleźć większego szowinistę serbskiego, jakim był Spiridion Gopčević. A jednak i ten zmuszony był skonstatować,

że Macedończycy (według jego zdania Serbowie) na pytanie, kim są, odpowiadali z reguły: »J e s t e m B u ł g a r e m« (»M a k e d o n i e n« 325)«.

»Przeto przemawia do mego przekonania daleko więcej otwarte stanowisko, które brzmi: interes państwowy każe nam, abyśmy dla Serbii domagali się środkowej Macedonii. Jeśli interes państwowy nakazuje Serbii zdobycie tego terytoryum, pomimo jego charakteru bułgarskiego, to stanowisko takie jest decydujące, a w takim razie nie należy powoływać się na wątpliwy lub zgoła niesłuszny argument, że Macedonia nie jest bułgarską«.

W dalszym ciągu swego artykułu prof. N i e d e r l e wykazuje, że tylko drogą pokojowego porozumienia się rozstrzygnąć można kwestyę macedońską. W innym wypadku, rozwiązanie drogą walki sprowadzi przykre konsekwencye, rozjątrzy antagonizmy, a zwycięstwo tej lub owej strony byłoby li tylko pozorną wygraną, wygraną krótkotrwałą, rodzącą mścicieli i nienawiść. *w.*

Dyskusya o w s p ó l n y k l u b c z e s k i jest nader pouczająca. Oto projekt statutu, wygotowany przez pp.: S t a ň k a i C h o c a uznaje już, że członkami »jednotnego klubu« mają być nie kluby poszczególne, lecz posłowie osobiście i że głosować należy według głów, a klubom nie wolno uchwalać niczego w sprawach zastrzeżonych »jednotnemu«, ogólnemu wspólnemu klubowi. Nadaje też projekt ten samej tylko osobie prezesa prawo i obowiązek oficyalnego imieniem klubu porozumiewania się na zewnątrz. Ale to wszystko pod tym jednakże warunkiem, że Koło Czeskie musiałoby być opozycyjne! To ma być też w s t a t u c i e (sic!!) z dodatkiem, że do opuszczenia stanowiska opozycyjnego trzeba większości kwalifikowanej. *České Slovo*, organ »narodowych socyalistów« (klofaczyków) dodaje dokładniejszy komentarz do tego monstrualnego warunku: zanimby wolno było zaprzestać opozycyi, muszą być przedtem spełnione Czechom przez Austryę pewne warunki, które oznaczy się z góry przy zakładaniu ogólnego klubu. — Naiwność, czy też przenoszenie interesu stronnictwa ponad wszystko?

Klofaczyków tłumaczyć może od biedy brak odpowiedniego stopnia inteligencyi. Co jednak powiedzieć na polityczne pomysły prof. M a s a r y k a? Ten znów sądzi, że »jednotny« potrzebny jest tylko do opozycyi, a czy stronnictwa mają zachować karność w parlamencie i być solidarne na zewnątrz n a w e t (!) w razie popierania rządu, o tem dyskutować teraz i tak »przedwcześnie«.

Któryś z przodowników stronnictwa chrześcijańsko-społecznego pisał w N-rze 37. *Noveho Věku*, że ogólny solidarny klub czeski jest obecnie wręcz niemożebny. »Chociażby doszło do jakiegoś zjednoczenia formalnego, nie będzie to zjednoczeniem w zasadzie; samo zaś formalne tylko rozpadnie się niedługo, bo będzie i tak zjawiskiem, nie mającem praktycznego znaczenia ... »Dzisiaj klub agraryuszów przeszedł z własnej inicyatywy do opozycyi przeciw rządowi i zbiera ogólny klub wszystkich czeskich posłów pod sztandar tej opozycyi. Młodoczesi nie mają dziś najmniejszej ochoty do opozycyi«, ale Dr. K r a m á ř sam powiedział, że »nadejdzie sprawa ugody austryacko-węgierskiej, a wraz z tem kwestya drożyzny, a natenczas będziemy zmuszeni, my, przed-

stawiciele miast, bronić siebie przeciw polityce wiejskiej. Nie należy więc przesadzać w sprawie jedności klubowej«.

Na Morawach odbyły się wybory sejmowe. Dnia 8. czerwca w kuryi powszechnej z 14 mandatów 9 przypadło odrazu »chrześcijańsko-społecznym«, a w 9 zaszły wybory ściślejsze pomiędzy nimi a socyalistami.

Przy ściślejszych wyborach zwyciężyli socyaliści w dziewięciu okręgach. Jak się to stało, wyjaśniły *Selske Listy*, organ umiarkowanego skrzydła agraryuszy morawskich: »Zwolennicy nasi — czytamy tam — znaleźli się przy wyborach ściślejszych, niestety, wobec dwojga złego, z którego mieli wybrać mniejsze« — i wybrali, głosując z socyalistami. Czyż to tacy wrogowie religii? Nie — chodzi tu nie o rzecz samą, lecz (jak najczęściej w polityce »aktualnej«) o taktykę. I to wyjaśniają *Selske Listy*, pisząc, że decyzya przeciw »klerykałom« nie nastąpiła bynajmniej »z jakiejś przychylności dla socyalistów, ale z nieprzemożonego rozgoryczenia z powodu niepoczytalnego podszczuwania przez agentów klerykalnych, mających swe siedziby głównie na plebaniach i wikaryjkach, a przedewszystkiem w redakcyach klerykalnych. Nasz lud ma już dość tej, pod fałszywą firmą zagrożonej wiary nieoględnej gospodarki, z którą nie może iść w porównanie postępowanie żadnego innego stronnictwa. Całemu temu prostactwu dostała się wczoraj pierwsza odpowiedź. Nie było to objawem życzliwości i zgody na socyalizm, lecz żywiołowym wstrętem do osłupiających gwałtów organizacyi klerykalnej. Klerykałowie nasi powinni w tem szukać powodów wczorajszego głosowania Moraw, którego wyniki są dla nich druzgocące«.

Nauczyć można się najwięcej od nieprzyjaciela, toteż »klerykalni agitatorzy z parafij i wikaryjek« powinniby nauczyć się na pamięć tego artykułu, który pisany jest wprawdzie naiwnie, ale stanowi wyraźną wskazówkę, że nie katolicyzm szkodzi duchowieństwu u ludu, lecz niewłaściwa taktyka. Popełniono niezręczności, zachowywano się niezgrabnie wobec ludu i dlatego tylko przegrano. Taktyka nie może być gruba, ciosana siekierą; w XX. wieku trzeba się postarać o subtelniejsze narzędzia...

W kuryi gmin wiejskich wybrano dnia 17. czerwca 12 chrześcijańsko-społecznych i katolicko-narodowych, 13 agraryuszów, 2 postępowców. Do wyborów ściślejszych przeszło 7 agraryuszów, 4 postępowców, 2 agraryuszów, kandydujących na własną rękę i 2 dzikich. Katolicki obóz stracił aż 6 mandatów w porównaniu z poprzednią kadencyą sejmową, zniknął też mandat staroczeski z tej kuryi. Inne stronnictwa będą mogły dokonać obliczenia dopiero po wyborach ściślejszych.

Dalszy i ogólny wynik wyborów będziemy mogli podać dopiero w następnym zeszycie.

Sprawa sfałszowania podpisu Dra Kramářa (zob. poprzedni zeszyt str. 386.) zwraca się bardzo ostro przeciw Klofačowi. Nie wiadomo, co tu jest grubszym skandalem: czy autentyczność podpisu największego gębosza w Czechach, czy też — sfałszowanie drugiego podpisu.

Nowa afera w Pilznie, gdzie aresztowano sekretarza tamtejszej narodowo-socyalistycznej Jednoty, który fałszował weksle, brał kubany od robotników i t. p.

W **słowackim** *Slovenským Denniku* znalazłszy w N-rze 110. artykuł wstępny p. t.: Poliaci už počali v svojej praci v Orave a na Spiši — ucieszyliśmy się, że nareszcie coś się robi (skoro istnieją zawiązane w tym celu organizacye!!) — a tu tymczasem znajdujemy wiadomość o pewnych (mylnych) informacyach *Gazety Podhalańskiej* i polemikę o to. Jeżeli *Slov. Denník* nie ma innych śladów polskiej »roboty« — o tę może spać spokojnie, choćby była robiona najgłośniej! Tym wystarczy cokolwiek »na wiwat«; uczta zastąpi studya, wycieczka z mówkami szkolnictwo, a prosty toast załatwi najzawilszą kwestyę polityczną. Ci zmadiaryzowanego Polaka (np. z Podwilka na Orawie) otoczą pochwałami i dadzą mu się zwodzić, byle im wygłosił trochę frazesów. Czem mniej ich kto będzie traktował poważnie, tem bardziej zrobi z nimi, co zechce, byle tylko zgrabnie rzucał toczonemi frazesami. Grono ludzi uczciwych osobiście i na tem koniec! Naiwność, nie mająca sobie równej, paraliżuje z góry jakikolwiek wynik ich »roboty«, którą porają się zresztą o tyle tylko, o ile dostarcza... miłych wrażeń. To nie są... fachowi robotnicy. Niezdatność ich okazała się jaskrawo, skoro za doradców wzięli sobie zmadiaryzowanych Polaków i nawet się nie spostrzegają na tem, że to są wynarodowieni Polacy, że więc mogą służyć tylko za przykład odstraszający, a nie... zachęcający, jak się ich naiwność wydaje. Ładna zachęta!!

Słowieńska »ljudska stranka« celowała zawsze przedsiębiorczością w organizacyi ekonomicznej kraju; wszak ona pokryła wszystkie ziemie słowieńskie siecią ludowych instytucyj finansowych i kooperatyw. Dostawszy w swe ręce oficyalny zarząd Krainy, rozporządzając olbrzymią większością w sejmie i, co za tem idzie, opanowawszy Wydział Krajowy, zabrali się do urzeczywistnienia wielkiego projektu ks. wicemarszałka Dra Lampego, żeby siły wodne przejąć w administracyę i na rachunek kraju, celem wytworzenia publicznych, krajowych elektrowni. W ten sposób Wydział Krajowy może się stać regulatorem przemysłu całego kraju, jako generalny dostawca prądu i siły elektrycznej. Doniosłość i cały rozmach projektu są oczywiste dla każdego laika. Tańsze, niż w krajach sąsiednich, motory warstatowe i fabryczne, a przystępność motorów elektrycznych wszędzie i gdziekolwiek, nawet dla każdego chudopacholka, muszą rozwinąć znakomicie przemysł w Krainie i to nietylko fabryczny. Nie można wprost przewidzieć, do jak wysokiego stopnia dobrobytu może wykonanie tego projektu doprowadzić Krainę. Ponieważ atoli kieruje tem ręka »klerykalna«, uważali sobie liberali za obowiązek oponować. Tem bardziej ucieszył się *Slovenec* wielkiemi pochwałami, które dostały się dziełu ks. Lampego ze strony fachowej niemieckiej. W ostatnich dwóch zeszytach *Rundschau für Technik und Wirtschaft,* redagowanej przez inż. Alfreda Birka przy praskiej niemieckiej politechnice, ogłosił inż. Józef Tschermak

obszerniejszą, a pełną pochwał o tem pracę: Die Ausnützung der Wasserkräfte Krains. Ein Beispiel für die Verländerung von Wasserkräften — a którą streszcza stosunkowo obszernie *Slovenec* w N-rze 134., przejęty słuszną dumą z kraińskiego Wydziału Krajowego.

Zrobiliśmy w zeszłym zeszycie ogólnikową wzmiankę o plotkarstwie politycznem, uprawianem przez pewną leciwą pannę (widocznie histeryczkę). Nazwisk nie podajemy, żeby powtarzaniem nie szerzyć — plotkarstwa. Artykułów owej »damy« jest już kilkanaście. Drukuje je *Slovenski Narod* — drukuje — i potem (co za konsekwencya!) dziwi się w N-rze 134. w artykule wstępnym »Tako pa ne gre«, że u »klerikalców« w stronnictwie wzorowa karność, która przytłumia wszelkie scysye osobiste, podczas gdy w obozie liberalnym cała taktyka polityczna opiera się na osobistych sympatyach i antypatyach. Są w tem stronnictwie »żywioły destrukcyjne, nie uznające żadnej karności, żadnej lojalności, chcące wszystko sterroryzować, a posługują się przy tem środkami, których niesposób nazwać inaczej, jak podłemi (»infamne«)«. Zwrócone są te uwagi przeciw *Danovi* (którego jednak nie wymieniono imiennie), drukującemu się w »Drukarni nauczycielskiej«. U Słowieńców każda organizacya polityczna i społeczna stara się mieć własną drukarnię, około której skupia się całe życie publiczne danej grupy. Przeciw »učiteljske Tiskarne« zwraca się też *Slovenski Narod* z wyrzutem, że tam gnieździ się »czarna ręka« liberałów.

Ta »czarna ręka« pozbawiła teraz właśnie stronnictwo najpoważniejszej jego siły, jaką jest niewątpliwie Dr. Karel Triller. *Laibacher Zeitung* (jako pismo neutralne pomiędzy dwoma »narodami« słowieńskimi, katolickim i liberalnym) ogłosiła pierwsza tę wiadomość w notatce, którą przytaczamy w całości:

»Dr. Karol Triller upoważnia nas podać do wiadomości publicznej, że złożył mandat swój, jako członek Wydziału Krajowego i poseł sejmowy i że zrzekł się godności wiceprezydenta Miasta Lublany i wystąpił z Rady miejskiej. Skutkiem tego urywają się też funkcye jego, jako prezesa Klubu narodowo-postępowego w Radzie miejskiej, jako członka c. k. Rady Szkolnej miejscowej i członka Dyrekcyi miejskiej Kasy Oszczędności. Powodem tego kroku stały się ostre napaści, na jakie wystawiony był p. Dr. Triller ze strony pewnej części swego własnego stronnictwa w ostatnich dniach z powodu swego zachowania się w Wydziale Krajowym. O napaściach tych, o ile tyczą się osobistej czci b. wiceprezydenta i b. członka Wydziału Krajowego, będzie jeszcze mowa w sali sądowej«.

O cóż poszło? Oto Dr. Triller głosował przy pewnej sposobności inaczej, niż się zdało owej »czarnej ręce« i zarzucono mu odrazu, że szedł nie za przekonaniem, lecz... zyskiem osobistym. Narobiono plotek, przed któremi napadnięty usuwa się do życia prywatnego, a na które narzeka *Slov. Narod,* pismo drukujące plotki całemi szpaltami. To trudno! Z plotkarstwem trzeba walczyć zasadniczo; nie można wyklinać go, gdy się samemu ponosi z niego szkodę, a ho-

dować, gdy się zdaje, że możnaby mieć z tego korzyść. To się tylko tak zdaje! Plotkarstwo zawsze jest szkodliwe, a przytem ośmiesza w najstraszliwszy sposób... mężczyzn.

Do podanych w poprzednim zeszycie wiadomości o rozłamie wśród prawaszów **chorwackich** dodajemy przegląd następnych wydarzeń w tej sprawie: W niedzielę, dnia 1. czerwca rozpoczęły się w Tryeście narady naczelnego zarządu stronnictwa. Stawili się członkowie zarządu z Bośny, Hercegowiny, Dalmacyi, Istryi i Banowiny (właściwej Chorwacyi, kraju podległego banowi), nadto dziewięciu posłów ostatniego sejmu chorwackiego a zwolenników »unii prawaszów«, którzy według statutu »unii« mają głos doradczy na posiedzeniach głównego zarządu. Słowieńców reprezentowali posłowie Korošec i Grafenauer, bez prawa głosu, jako goście. Na początku obrad, przy kwestyach formalnych, zwarły się dwa obozy i zanim doszło do obrad nad samą rzeczą, już Dr Mile Starčević złożył godność prezesa naczelnego zarządu i prezesa komitetu wykonawczego w Banowinie. Zjazd nie rozjechał się jednakże w tem stadyum poróżnionych opinij. Obradowano jeszcze dwa dni, za każdym razem do późna w nocy (Chorwaci są wymowni i lubią nawzajem się słuchać) i doprowadzono do tego, że prócz zdeklarowanych frankowców wszyscy oświadczyli się za kierunkiem starczewiciańskim, za dotrzymaniem paktu z koalicyą serbo-chorwacką i zażądali, żeby pp.: Šegvić i Peršić przywróceni byli do władzy w redakcyi i administracyi *Hrvatske*, jako głównego organu stronnictwa. Skutkiem tych uchwał Starčević przyjął na nowo prezesurę naczelnego zarządu »unii prawaszów«. — Uchwały nie zapadły atoli jednomyślnie. Reprezentanci frankowców, Dr. Milobar, Dr. Prebeg i reprezentant stronnictwa chrześcijańsko-społecznego, ks. Dr. Bošnjak, stanowili opozycyę i dlatego tylko nie protestowali formalnie, żeby nie wywołać wniosku o wykluczenie ich ze związku prawaszów. Nie chcieli dawać rozłamowi formalnej sankcyi na własną odpowiedzialność. *Hrvatska* pozostała jednak w ręku frankowców i pojawiło się w niej oświadczenie, że uchwały co do dziennika nie są prawnie powzięte i nie obowiązują, bo to nie należy do kompetencyi naczelnego zarządu, gdyż nie dotyczy całości ziem chorwackich, lecz jednej tylko Banowiny (właściwej Chorwacyi), a zatem należy do zarządu krajowego, banowińskiego. Jeżeli zachodzą wątpliwości, czy środki przedsięwzięte wobec dziennika przez członków zarządu z Banowiny były właściwe, rozstrzyga nie zarząd naczelny, ogólno-chorwacki, lecz walne zebranie członków stronnictwa z samej tylko Banowiny. Kazuistyka ta, redukująca znaczenie zarządu naczelnego do zera, a doprowadzająca zasadę decentralizacyi do absurdum, uniemożliwia wogóle istnienie organu, reprezentować mającego całą unię prawaszów, skoro organ ten miałby być zawisłym nie od naczelnego zarządu, lecz od zarządu oddziału unii w tym kraju, w którym dziennik się drukuje!

Obzor, *Pokret* i lublański *Slovenski Narod* uważały rozłam za nieuchronny; inne pisma miały jeszcze otuchę, że uda go się odwrócić.

Sprawa jest pierwszorzędnej wagi, bo wpłynie decydująco na stosunki chorwacko-węgierskie, chorwacko-serbskie i słowieńsko-chorwackie.

Ostatecznie frankowcy odmówili wydania dziennika *Hrvatska* pierwotnej redakcyi, poczem dnia 19. czerwca starczewicianie uchwalili zerwać z tamtymi wszelkie stosunki i przystąpić do założenia własnego dziennika p. n. *Hrvat*.

Na samym początku czerwca naradzali się w Budzyniu b. banowie: Tomašić, Pejačević, Rauch, tudzież biskup serbski Gruić i poseł Avakumović z Lukacsem, Kuehnem, Beöthym i ministrem chorwackim Josipovićem nad projektem Kuehna, żeby starać się o pogodzenie poróżnionych osobiście koryfeuszów partyj, uznających ugodę z Węgrami — bo w spółce z rozbijającymi »unię prawaszów« frankowcami dałoby się może teraz utworzyć wymarzone przez madiaronów »narodowe stronnictwo pracy«.

Upadł Lukacs (nie z politycznych, jak wiadomo, powodów), a nowy premier, Tisza, wygłosił znaną z dzienników mowę o sprawie chorwackiej. Półurzędowa *Drau* (w niemieckim wydawana języku), organ »unionistów« nie zawahała się dodać do niej komentarza, że niema mowy o przywróceniu konstytucyi, póki nie będzie rękojmi, że w sejmie da się złożyć większość unionistyczna, co do czego »hr. Tisza nie oddaje się najmniejszemu nieuprawnionemu optymizmowi«. Nie omieszkała też *Drau* w innym artykule uzupełnić komentarz spostrzeżeniem, że wszystko złe w kraju pochodzi od koalicyi serbo-chorwackiej.

Ze względu na ten drugi artykuł półurzędowego pisma charakterystyczne jest stanowisko *Hrvatske*, która nie waha się zatrzymać w nagłówku wyrazów: »organ stranke prava za sve hrvatske zemlje«, a jak wiadomo, rozbiła »unię prawaszów« (której mieni się być organem) właśnie o stosunek do koalicyi. Otóż *Hrvatska* nie dopatrzyła się w mowie Tiszy żadnego wystąpienia przeciw prawaszostwu!

Najpoważniejszy z dzienników **serbskich**, *Trgovinski Glasnik*, zwracał uwagę, że dla Macedończyków, prześladowanych przez tureckie rządy, nie była Bułgarya wcale jedynem schronieniem, jak twierdzą Bułgarzy, wywodząc z tego swe prawa do Macedonii. Macedończycy chronili się również do Serbii i znajdowali tu oparcie i utrzymanie. Jestto naturalne wobec tego, że kraina macedońska na zachód rzeki Wardaru (zajęta obecnie przez serbskie wojsko), położona jest bliżej Serbii; dolinami Wardaru i Morawy najkrótsza stąd droga do Serbii, a wcale nie do Bułgaryi. Nawet pokojowy całkiem, zwyczajny ruch ludności, pociąga ją, zwłaszcza rozmaitych rzemieślników, za zarobkiem do Serbii; chłopcy zaś, pragnący szkoły, garną się do serbskich szkół. Emigracya macedońska w Serbii dawała zresztą znać o sobie, urządzając zgromadzenia z protestami przeciwko uciskowi tureckiemu — ale także przeciw gwałtownej metodzie propagandy bułgarskiej. Gdy wojsko serbskie dotarło za Kumanovo i dalej za Ochrid, wszędzie znajdowali serbscy żołnierze po wsiach starych znajomych, witających ich pocałunkami. Ale tem różnią się Serbowie od Bułgarów, że nie umieli

tego wszystkiego wyzyskać do »politycznej reklamy« — tak wywodzi sprawę *Trgovinski Glasnik.*

Głos prof. Niederlego o sporze Akademii bułgarskiej a serbskiej co do etnografii Macedonii, podajemy powyżej w przeglądzie prasy czeskiej.

Dlaczego **Bułgaryi** pilniej było, niż Serbii, zawrzeć pokój z Turcyą, co tak charakterystycznie uwydatniło się podczas ostatnich dni konferencyi londyńskiej — tłumaczy doskonale artykuł prezesa bułgarskiego Towarzystwa ekonomicznego, K. Popova, ogłoszony w półurzędowej *Blgariji,* na temat ekonomicznego zbliżenia się Bułgaryi do Turcyi. Jego zdaniem Bułgarzy i Turcy mają zasadniczą tendencyę do pokojowego na przyszłość współżycia. Oddawna była Turcya najlepszym odbiorcą bułgarskiego eksportu. Najważniejsza gałąź przemysłu bułgarskiego, młynarstwo, opiera byt swój na Turcyi; tkacki zaś przemysł ucierpiał wielce, gdy stracił część zbytu na rynkach tureckich. Nawzajem wywoziła Turcya do Bułgaryi rozmaite surowce, płody rolnicze, a z zakresu przemysłu rozmaite specyalne wyroby konstantynopolitańskie — podczas gdy Bułgarya zaopatrywała stolicę turecką w mięso i nabiał. Taki stan rzeczy trwał niezmiennie przez ostatnich 34 lat, mimo rozmaitych zmian w zakresie polityki. Jasnym momentem był traktat handlowy z r. 1899, nader korzystny dla obopólnych interesów. Interesy ekonomiczne muszą przemówić i teraz, po wojnie. Nowej Bułgaryi trudno byłoby obejść się bez tureckich targów, a uszczuplona terytoryalnie Turcya ma tem większy interes ekonomiczny za bułgarskiemi granicami. Bułgarya, dotarłszy do morza Egejskiego, wejdzie w stosunki bezpośrednie z krajami, które mogą ofiarować jej płody surowe, jakie dotychczas można było sprowadzać tylko z Turcyi. Turcya jednak, mając już tak nie wiele posiadłości w Europie, traci tem samem związek z rynkami europejskimi, traci zarazem najbliższe i najpewniejsze miejsca zbytu dla artykułów handlu z Azyi Mniejszej. Obok tego wszystkiego zważyć trzeba i to, że wilajet adryanopolski był od wieków dostawcą żywności dla Konstantynopola. Leży to w obopólnym interesie, żeby stary ten związek ekonomiczny przywrócić teraz jak najprędzej, skoro pokój już zawarto. Turcya zechce zapewne przyspieszyć nawet wznowienie stosunków handlowych z Bułgaryą, a powinna znaleść w Bułgaryi jaknajwięcej wzajemnej ochoty i dobrej woli. Zbliżenie i porozumienie na podłożu ekonomicznem jest nietylko możebne, lecz wręcz konieczne; nie można nie poświęcić bacznej uwagi specyalnym interesom jednego i drugiego kraju. Należy przeto zająć się ułożeniem bułgarsko-tureckiego traktatu handlowego jak najspieszniej, nie tracąc czasu.

Wnet po podpisaniu pokoju z Turcyą zaczęła się w prasie bułgarskiej kampania przeciw Rosyi, a to z powodu, że nie kwapiła się wypełnić roli, do której zobowiązuje ją traktat serbo-bułgarski (a więc zawarty pod Rosyi egidą!), a mianowicie roli rozjemcy, mającego przysądzać terytorya zdobyte a sporne według zasady etnograficznej. Traktat ten dotychczas ogłoszonym w całości nie był; nie

mamy powodu wątpić, że cząstka jego, która podległa »niedyskrecyi« bułgarskiej, przedstawiona jest autentycznie.

Przed pięciu już tygodniami prasa bułgarska nastroiła się bardzo na rusofobską nutę. Przypisywano wszystkie kłopoty — rusofilstwu gabinetu; spostrzegano, że interesy bułgarskie identyczne są raczej z austryackimi. Jeden ze starszych publicystów partyi liberalnej, grupy Radosławowa, Jonko Władykin, twierdził, że i Sylistrya byłaby została przy Bułgaryi, gdyby nie to, że Rosya podstawia stołka — nawet Soluń mógłby być bułgarskim, gdyby Rosya nie protegowała Greków; cóż dopiero mówić o pretensyach serbskich! Raz pisał Władykin w te słowa: »My wiemy, że nam należy się słusznie hegemonia Bałkanu i gdy nam jej nie ofiarują, sami ją sobie weźmiemy. Rosya, pogrążona w błędnej polityce wynajdywania równowagi na Bałkanie, popiera zuchwałe uroszczenia Serbii, przygotowując nieboraczce wtórą Śliwnicę« — i wysnuł z tego następujący wniosek: »Musimy formalnie nawrócić do umowy austryacko-bułgarskiej z roku 1908., która umożliwiła Austryi zabór dwóch krajów serbskich (Bośny i Hercegowiny) i powstrzymała państwo serbskie od zbrojnego wystąpienia przeciw temu. Siedzieć na dwóch stołkach i tak nie da się dłużej«.

Podobnych artykułów było sporo. Wołano, żeby uwolnić się od wszelkich »Kaulbarsów«, otrząść się z rosyjskiej hypnozy, nie robić sobie ceremonij ani z Serbią, ani z Grecyą i podać dłoń Austryi.

Równocześnie zaczęły się pojawiać tuzinami całemi korespondencye o gwałtach, jakich się władze serbskie i greckie dopuszczają na bułgarskiej ludności Macedonii i Tessalii. Zaczęto się też naigrawać z Serbii, często niesmacznymi konceptami. Coraz zaś głośniej wołano na Rosyę, że nie może zrzec się obowiązku rozjemstwa. Rząd rosyjski nie miał widocznie najmniejszej ochoty rozsądzać sprzymierzonych i rozstrzygać najzawilszą na świecie kwestyę etnografii Macedonii, w której musi się narazić jednej stronie. Rząd carski nie miał ochoty decydować się na utratę sympatyi tu lub tam — aż wołania bułgarskie wywołały wilka z lasu.

Po telegraficznym carskim »ukazie« odezwał się chór znamiennych wielce głosów. *Mir* zapewniał, że nikt nie będzie mógł zarzucić Bułgaryi, jakoby ona wywoływała nowe komplikacye i domyślał się, że pewne ustępy telegramu tyczą się zapewne samej tylko Serbii, bo do Bułgaryi stosować się nie dadzą. »Prosiliśmy o sąd rozjemczy w granicach traktatu« — dodał *Mir* zaraz nazajutrz. *Błgarija,* organ Danewa (postępowców), jakby się zmówiła z półoficyalnym *Mirem,* pisała tegoż dnia: »W istocie rzeczy, chcąc, żeby cesarz mógł spełnić swą rolę rozjemcy, trzeba przedewszystkiem, żeby traktat istniał«, a więc trzeba go wypełnić wpierw co do terytoryów niespornych, a na spornych zarządzić na razie kondominium. *Narodni Prawa,* organ Radosławowa (liberali) zarzucało rządowi rosyjskiemu od razu »jaskrawą niesprawiedliwość«, skoro wymaga się od Bułgaryi spełnienia jakiegoś punktu traktatu, który Serbia uważa cały za niebyły i jej nie obowiązujący; nadto »wywołuje osłupienie« okoliczność, że car rosyjski nie znalazł żadnego słowa nagany dla króla serbskiego.

»Jako zdecydowany protektor slawizmu i prawosławia, powinienby car ująć się za Bułgarami, krzywdzonymi w Macedonii«. *Narodna Wolja,* organ obozu radykalno-demokratycznego, wystąpił odrazu z jurydycznem odparciem telegraficznego ukazu. Żądanie serbskie, żeby traktat serbsko-bułgarski poddać rewizyi, stanowi sprzeczność, bo usuwa podstawę prawniczą rozjemczej roli cara — mianowicie traktat z przed wojny. Dziennik ten przytoczył zarazem kilka »rewelacyj«, mających wykazać, że stronnicze stanowisko Rosyi było już zdecydowane podczas walk na linii Czataldży. Zachęca, żeby na telegram dać odpowiedź »kategoryczną«. — *Sofijska Weczerna Poszta* załatwiła się z telegramem carskim krótko a węzłowato: Niech Serbia wycofa się z Macedonii bez zwłoki i bez wykrętów. Wmawia bez skrupułu w czytelników, że widocznie taką jest wola carska i że telegramu nie można inaczej tłumaczyć — to znaczy, że inaczej Bułgarya uważać go powinna za niebyły. *Dnewnik* ubolewał nad panowniczym tonem telegramu; »oczekiwaliśmy interwencyi Rosyi, lecz nie gróźb ze strony cesarza — a tuszymy, że rady będą adresowane tam, gdzie zachodzi ich potrzeba«; przedewszystkiem zaś winnaby Rosya odradzić Serbii wszelkich uroszczeń, niezgodnych z traktatem.

Trzeba przyznać prasie bułgarskiej, że co może zawiniła przedtem niepotrzebnem odwoływaniem się do rozjemstwa carskiego, sądząc, że tem przyprze Rosyę do muru i zmusi do wyparcia się Hartwiga i do jakiegoś surowego upomnienia Serbii — to naprawić potem starała się wystąpieniem politycznie solidarnem, a pełnem godności.

Towarzyszy zaś temu gorączkowe zbieranie materyałów, mogących świadczyć w sprawie macedońskiej na korzyść Bułgaryi. Postarano się o memoryał obszerny »emigracyi macedońskiej«, noszący 82 podpisów ze wszystkich naprawdę okolic Macedonii. Znajduje się tam pomiędzy innemi stwierdzenie faktu, że tylko Bułgarzy przelewali od dawna krew za wolność Macedonii i starali się wyswobodzić ją z pod tureckiego jarzma; bo tylko oni uważali Macedonię zawsze za część swej ojczyzny, podczas gdy Serbowie i Grecy okazali, że to kraj im obcy, skoro dopomagali tam nieraz wojskom tureckim. Pod adresem Rosyi skierowano zaś przypomnienie, że w pokoju san-stefańskim z 19. lutego 1878. wcielono całą Macedonię do Bułgaryi, jako kraj bułgarski.

Od 20. maja wychodzi w Sofii dziennik po francusku *L'Echo de Bulgarie,* ażeby usprawiedliwiać i wyjaśniać przed Europą naprężenie stosunków i gotowość do wojny z Serbią, w danym razie i z Grecyą. *Echo* stara się dzień w dzień podać jakiś dowód, że znaczna większość Macedonii jest etnograficznie bułgarską. Raz dołączono kosztowny dodatek: mapę, całkiem dobrze wykonaną, pięciokolorową. Jestto reprodukcya mapy, dołączonej w swoim czasie do angielskiego dzieła pań Mackenzie and Arbey: »Travels in slavonic provinces of Turkey«, a które-to dzieło przetłumaczył wówczas skwapliwie b. poseł serbski w Londynie, Mijatović. Na mapie tej Monastyr, Nisz, Iskib leżą istotnie w krainie etnograficznie bułgarskiej; Saloniki mają z jednej tylko strony miasta ludność grecką, z innych stron

otoczone także bułgarską. Wrażenie sprawia fakt, że mapa ma wpisany tekst serbski (a nie po bułgarsku!), widocznem więc jest, że sporządzał ją w swoim czasie Serb.

W N-rze 16. *Echo* zajął się b. prezes klubów bułgarskich w Turcyi, T. Karajowow, statystyką ludności Tracyi, obecnie oswobodzonej i twierdzi, że jest tam 317.000 Bułgarów, 160.000 Greków a 149.000 Turków.

W N-rze 18. *Echo* woła b. poseł do parlamentu tureckiego, T. Pawłow: »Macedonia jedna i niepodzielna!« W artykule jego znajdujemy też odpowiedź na depeszę grona warszawskich »publicystów-salonowców« (p. Żwana i towarzyszy). Przytaczamy ten ustęp dosłownie:

»Rosyanie, Czesi, Polacy wydają odezwy jednę za drugą do narodów sprzymierzonych i zaklinają je, w imię najwyższego interesu slawizmu, żeby załatwiły pokojowo swe spory i dotrzymały sobie przymierza. Te rady i odezwy, pochodzące z dobrej woli, wzruszają nas swą szczerością, lecz zarazem zadziwiają dziwnemi pojęciami, jakie wielu naszych słowiańskich przyjaciół ma w rzeczach tyczących się Macedonii. Byliśmy też przykro zdziwieni, czytając w odezwie Czcigodnych Polaków z Warszawy, świeżo do nas wystosowanej, takie oto słowa: »Jeżeli Francya i Hiszpania po sporze o Marokko mogły zawrzeć sojusz, cóżby miało przeszkadzać do wzmocnienia sojuszu pomiędzy sprzymierzeńcami słowiańskimi, którzy odnieśli zwycięstwo nad odwiecznymi swymi tyranami? »Przedstawiciele szlachetnego i dzielnego narodu polskiego czyżby chcieli w jakiś sposób nadzwyczajny, porównywać Macedonię z Marokiem? Czyż nie wiadomo im, że spór pomiędzy Hiszpanią a Francyą tyczył się kolonii, kraju, którego ludność ani francuska, ani hiszpańska? Dla nas, Bułgarów, Macedonia kolebką bułgarszczyzny, to ojczyzna wielkich apostołów słowiańskich, ś-tych Cyryla i Metodego, ognisko ruchu narodowego, który wszczął się w r. 1883. w Iskibie i Ochridzie, a który przyspieszył uwolnienie narodu bułgarskiego z jarzma Fanaru« i t. d.

Jeszcze w marcu r. b. wyszła książka Dra Sliwensona o »Serbach w Macedonii«, w której autor domniemywa się, że odwiedziny króla Aleksandra serbskiego w Carogrodzie w r. 1894. zmierzały już do zawarcia »współpracownictwa« Serbii i Grecyi z Turcyą, nie dla korzyści Bułgaryi oczywiście. Nie brakło i potem polityków serbskich, domagających się porozumienia z Grecyą, z ostrzem zwróconem w stronę Sofii. Rosyanin Durnowo zalecał w piśmie *Srpska Zastava* (z 6. XII. 1906.) alians serbsko-grecki »celem (słowa Durnowa) sparaliżowania bułgarskiego zmysłu do ekspanzyi terytoryalnej«. I tak cytatami z dzienników przeprowadzono ten dowód od r. 1896 aż do kwietnia 1910.

Statyści i publicyści bułgarscy zastanawiają się pomimo niepewności czasów nad urządzaniem nowych nabytków. Jak kwestya ta zajmuje opinię publiczną, wskazują sprawozdania z pracy A. Raboinikowa »o sprawie agrarnej w Macedonii i w wilajecie adryanopolskim«. Bułgarzy nie myślą oczywiście naśladować przykładu austryackiego w Bośni, konserwować bejów i odkładać jak najdłużej uwła-

szczenie włościan. Przeciwnie! Razboinikow domaga się rewizyi tytułów posiadania bejowskich »cziflików« i radzi ograniczać wielką własność, żeby nie mogła rozrastać się w latyfundya; proponuje, żeby ustanowić maximum dozwolonej posiadłości rolnej. Ziemie państwowe i nabytki ewentualne z ustępującej wielkiej własności pragnie rozdzielić jak najprędzej pomiędzy najuboższą ludność wiejską. Bulgarya, zwiększona nowymi spodziewanymi nabytkami, składałaby się w niesłychanej przewadze z ludności włościańskiej, bo aż w stosunku 80⁰/₀.

KRONIKA.

Z „Towarzystwa Słowiańskiego“ w Krakowie. Z kroniki T. S. ostatniego kwartału zapisujemy, oprócz szeregu posiedzeń Zarządu i Wydziału, trzy miesięczne zebrania naukowe. Pierwsze z nich w kwietniu zagaił Dr. F. Konecczny kwestyą »Pierwotnej polskości Rusi Czerwonej«. Referat, ogłoszony następnie w kwietniowym zeszycie *Świata Słowiańskiego*, wywołał żywe zainteresowanie zarówno wśród członków Towarzyrzystwa, jak nie mniej i wśród historyków Rusi i kresów wschodnich Polski, dając impuls do nowych w tej kwestyi publikacyi (por. np. artykuł p. Cerchy o »Chełmszczyźnie — ziemi »Grodów czerwieńskich« w majowym zeszycie *Świata Słowiańskiego*). Sam odczyt wywołał żywą dyskusyę i sprowadził po raz pierwszy na posiedzenie T. S. — Ukraińców. Szkoda tylko, że nie zechcieli wziąć udziału w rzeczowej, objektywnej dyskusyi, a wystąpili z napaściami.

Drugie (VII. z rzędu) posiedzenie naukowe wypełnił odczyt Prof. Edm. Kołodziejczyka p. t.: Prądy słowianofilskie wśród Wielkiej Emigracyi. Ani nazwisko referenta, ani przedmiot jego pracy nie jest wcale obcym czytelnikom naszym. W odczycie pokusił się prelegent po raz pierwszy o całkowity i syntetyczny obraz tych silnych prądów słowianofilskich, jakie pod powłoką dążeń narodowościowych nurtowały wśród emigrantów paryskich po r. 1830. Wyprowadzając genezę tych prądów z filozofii mistycznej polskiej emigracyi, z mesyanicznego poglądu na przyszłość Polski i jej roli wśród Słowian, scharakteryzował prelegent poglądy Hoene-Wrońskiego, Cieszkowskiego i Towiańskiego na kwestyę Słowiańszczyzny i jej stosunku do sprawy polskiej. Z tego tła filozoficzno-politycznego wyprowadził idee, rzucone przez naszych wieszczów w wielkich i mniejszych poematach, a zwłaszcza idee A. Mickiewicza, rozwinięte w paryskich prelekcyach, oraz Z. Krasińskiego w »Psalmach« i artykułach politycznych. Po tych pionierach idei braterstwa ludów, a więc i braterstwa Słowian, przyszła kolej na przygodnych działaczy społecznych, polityków i publicystów, jak Bońkowski, Królikowki, Jabłonowski, Wiśniowski i wielu innych, na plejadę pism, dzienników politycznych i czasopism literacko-naukowych w Paryżu i poza nim, jak *Słowianin, Polak, Zorza* i i., które w najrozmaitszy sposób pojmując ideę słowiańską, różnorodnych dla niej dróg szukały.

Powstały one i upadały raz po raz, zależnie od konstelacyi politycznej w Europie i od układu stronnictw wśród samej emigracyi, a chociaż nie stworzyły jednego, ciągłego programu działania, przyczyniły się znacznie do spopularyzowania wśród emigrantów idei słowiańskiej, zbliżyły szeregi Słowian paryskich do kół polskiej

emigracyi, były odgłosem poczucia słowiańskości wśród wszystkich stronnictw ówczesnych, od ks. Czartoryskiego do Lelewela. Prelegent, nie ograniczając się do akcyi słowianofilskiej w samym Paryżu, objął swym cennym wykładem także usiłowania emigracyi, sięgające do Rzymu, Słowiańszczyzny południowej i Turcyi; przedstawił też działalność w tym kierunku A. Mickiewicza, M. Czajkowskiego (Sadyka-baszy) i innych. Bardzo pouczający ten odczyt ukaże się niebawem w druku.

Ostatnie przed wakacyami (VIII.) posiedzenie naukowe Tow. Słow. poświęcono literaturze słowieńskiej. Dr Tad. Stan. Grabowski mówił o »Polakach w poezyi Słowieńców«. Prelegent przedstawił szereg ciekawych zjawisk w literaturze pobratymców z południa, ilustrujących przeszłość dziejów politycznych i życia obyczajowego w Polsce. Przytoczył ballady ludowe, osnute bodaj częściowo na tle polskiem: jak np. o królu-tułaczu (Bol. Śmiałym ?), o królowej polskiej (Bonie ?) i o »Turkach pod Dunajem« (Sobieski). W dalszym ciągu scharakteryzował główne postaci pionierów odrodzenia słowieńskiego w I. połowie XIX stól., Fr. Preszerna, St. Vraza, Dr. Trstenjaka i in., jako głównych wielbicieli i znawców literatury polskiej, szczególnie Mickiewicza. Osobną uwagę poświęcił Dr Grabowski poematowi X. Žaklja-Ledinskiego p. t. Vilkovo, którego bohaterem jest Marcin Sapieha, a osnową zatarg tragiczny pomiędzy księciem a szlachcicem Wilkowskim. Motyw, przypominający żywo wątek »Jana Bieleckiego«, niezawodnie zrodził się pod jego wpływem, lecz nie w fantazyi słowieńskiego poety, tylko niemieckiego rymopisa, Gaudy'ego, z którego jest przeróbką (jak to wykazał niedawno Dr Hahn; por. zeszyt czerwcowy *Swiata Słowiańskiego*).

Serdeczne wspomnienie poświęcił prelegent emigrantowi polskiemu, Emilowi Korytce, który w latach 30-ych zasłużył się — niby Herder — narodowi słowieńskiemu, zebraniem bardzo cennych pieśni ludowych (3 wielkie tomy). Wskazawszy wreszcie na zasługi Sienkiewicza (i jego tłumacza słow. Podrawskiego) około zapoznania pobratymców naszych z przeszłością Polski i z nowszą jej twórczością literacką, podniósł prelegent rolę dwu młodych Słowieńców, ks. L. Lénarda i dr. Voj. Molego, jako głównych działaczy na polu kulturalnej łączności polsko-słowieńskiej. W dyskusyi ożywionej brali udział dyr. Zawiliński, Karbowiak i in., a szczególnie X. Lénard, który dorzucił do wywodów prelegenta kilka cennych uwag.

Z dalszej działalności Tow. Słow. ostatniego kwartału zaznaczyć należy jeszcze kilka ważnych faktów:

1) połączenie się z Tow. Słow. byłego Tow. Przyjaciół Słowian Południowych, przyczem podnieść należy dobrą wolę i rozumną myśl założycieli tamtego Towarzystwa, dla których łączność w pracy i skupianie sił było głównem hasłem wspomnianego kroku;

2) otworzenie kursu języków słowiańskich dla pragnących pobierać naukę któregokolwiek z nich. W nauce tej przyjęli łaskawie a bezinteresownie udział lektorowie języków słowiańskich przy Uniw. Jagiellońskim (doc. Dr L. Janowski, Dr T. St. Grabowski i prof. B. Łepki), oraz X. Dr Lenard. Na razie otworzono kurs języka bułgarskiego (zapisało się osób 22), czeskiego (3) i serbo-chorwackiego (6), z czego rozwinęły się tylko dwa pierwsze, trzeci zaś z powodu krótkości letniego półrocza zwinięto, odkładając go do półrocza zimowego;

3) postanowienie wzięcia udziału w sierpniowych uroczystościach słowieńskich w Lublanie z zaznaczeniem jednak, że Tow. Słow. występuje nie jako partya pewna w stosunku do pewnej tylko części Słowieńców, ale że udaje się do Lublany jako Polacy do Słowieńców, bez względu na przekonania polityczne, społeczne i religijne obu stron;

4) przyjęto broszurę popularną p. Leona Wasilewskiego p. t. »Słowianie, ich rozsie-

dlenie i liczba« i postanowiono wydrukować ją jako II. tom »Biblioteki słowiańskiej«;

5) nawiązano bliższe stosunki ze »Związkiem turystycznym« i innemi towarzystwami w Krakowie i uchwalono w zasadzie urządzenie wspólnemi siłami w Krakowie w r. 1915. etnograficznej wystawy słowiańskiej.

Wilhelm II. der Enteigner, król pruski i cesarz niemiecki, obchodził 25-lecie swych rządów, których hasłem doprowadzenie do doskonałości bismarkowskiej zasady: Kraft vor Recht. Na przydomek swój pracował od r. 1888. Pro rei memoria przytaczamy za pismami wielkopolskiemi te akty niemiecko-chrześcijańskiej (nietylko protestanckiej, boć popieranej gorliwie i przez niektórych biskupów katolickich) kultury, pod którymi widnieje podpis jubilata:

1) »My, Wilhelm z Bożej łaski król pruski i t. d. rozporządzamy:

Prawo z 26 kwietnia 1886 r., dotyczące tworzenia niemieckich osad w Prusiech Zachodnich i Poznańskiem zmienia się, jak następuje:

Fundusz dyspozycyjny Komisyi kolonizacyjnej podwyższa się ze 100 milionów na 200 milionów i t. d.«

2) Dnia 5 czerwca r. 1902 w Malborgu wygłosił słynną mowę przeciwko Polakom i całej Słowiańszczyźnie.

W niespełna miesiąc potem ukazała się następująca ustawa:

»My, Wilhelm z Bożej łaski król pruski i t. d. rozporządzamy:

»Fundusz dyspozycyjny Komisyi kolonizacyjnej z 200 milionów podwyższa się na 350 milionów i t. d.

Dan w Kilonii na pokładzie mego statku »Hohenzollern«, 1 lipca 1902.

3) Dnia 10 sierpnia r. 1904 z pokładu statku »Hohenzollern« wyszło następujące rozporządzenie:

»W Prusiech Zachodnich i Poznańskiem zabrania się nowych osad, jeżeli prezes regencyi nie wyda poświadczenia, że nowa osada nie sprzeciwia się celom Komisyi kolonizacyjnej i t. d.«

4) Dnia 20 marca r. 1908 z zamku w Berlinie wyszło następujące rozporządzenie:

»Fundusz Komisyi kolonizacyjnej powiększa się o 200 milionów marek. Państwu nadaje się prawo w okolicach, w których zagrożonej niemczyzny nie można inaczej zabezpieczyć, jak przez wzmocnienie i zaokrąglenie niemieckich osad, nabywać ku temu ziemię aż do wysokości siedmdziesięciu tysięcy hektarów w drodze przymusowego wywłaszczenia«.

5) Dnia 28 lipca r. 1906 z pokładu parowca »Hamburg« wyszła ustawa, której dwa paragrafy brzmią następująco:

§ 1. Tworzenie i utrzymywanie szkół ludowych przechodzi na gminy polityczne.

§ 70. Do Prus Zachodnich i Poznańskiego nie znajduje to prawo zastosowania.

6) Dnia 19 kwietnia r. 1907 z Achilejonu na wyspie Korfu:

»My, Wilhelm z Bożej łaski Cesarz niemiecki, rozporządzamy:

Rozprawy w publicznych zebraniach prowadzą się w języku niemieckim.

Na przeciąg lat dwudziestu od wydania niniejszego prawa, wolno używać nieniemieckiej mowy w tych okolicach z zasiedziałą ludnością nieniemiecką, w których spis ludności wykaże, że ludność ta przenosi 60 procent wszystkich mieszkańców«.

7) Wreszcie ostatnimi czasy przeprowadzono ustawę o wzmocnieniu zagrożonej niemczyzny i powiększeniu funduszu Komisyi kolonizacyjnej o dalsze 230 milionów marek na r. 1913, która nie została dotychczas w zbiorze praw ogłoszoną. Ogłoszenie nastąpi po uroczystościach jubileuszowych.

Podobno monarcha ten odznacza się żądzą sławy. Na drogę Historyi od nas okrzyk »Jeszcze Polska nie zginęła«. i — przydomek.

Czeska kronika.

† **Karol Rožek,** belletrysta, zmarł w Pradze dnia 11 czerwca, licząc lat 37. Urodzony w roku 1876. w Pardubicach, był nauczycielem ludowym w Pěčinie pod Žamberkiem, następnie w szkole miejskiej na praskiem przedmieściu Žižkowie. Pod pseudonimem K. Egora

wydał dwa tomiki poezyj pod tytułem Pomsta neznámé viny i Návrat. W roku 1901. założył miesięcznik literacki *Srdce*, skupiający część młodego pokolenia, bardziej lirycznie i elegijnie nastrojoną. Sam wydawca zwrócił się niebawem do nowelistyki, powieściopisarstwa, a nawet do sceny. Z powieści najwybitniejsze są Petr Suk i Zbytečný život, z dramatów Bílí Ptaci, Chorobných krajů květy i ulubiony na prowincyonalnych scenach amatorskich Červ (Robak). Zamieszkawszy w Pradze, podjął się kierownictwa nowego, zupełnego wydania pism Nerudy (nakład firmy Topiča). Zabrał się do wszechstronnych studyów z tego powodu, czego dowodem kilka belletrystycznych ustępów, osnutych na tle młodych lat Nerudy, drukowanych w *Kvetach*, w *Maju* i innych czasopismach; jeszcze jeden taki ustęp, jako już »pośmiertny« niestety, ogłosiła *Zlatá Praha*.

† **Józef Vychodil**, przywódca ludu w północnych i środkowych Morawach, zmarł dnia 15. czerwca w Topolanach pod Ołomuńcem, licząc lat 68. Przed 30 laty założył Česko-slovanský Spolek selský pro Moravu, stowarzyszenie zawodowe rolnicze, z którego wyłoniła się wbrew niemu organizacya polityczna. Vychodil uważał osobne stronnictwo chłopskie za nieszczęście i dla chłopów i dla całego narodu, toteż protestował przeciw temu z całych sił na zjeździe »agrarnym« 1904. roku w Ołomuńcu — lecz naprożno. Stronnictwo powstało i — odebrało Vychodilowi obydwa mandaty poselskie: do sejmu i do parlamentu. W roku 1907. wycofał się z życia publicznego, zachowując do końca życia tylko krzesło w zarządzie centralnej chłopskiej Kasy zaliczkowej w Ołomuńcu: Ustřední záložna rolnická, którego to zarządu był członkiem od samego założenia »záložny« w roku 1871. Nie było takiego przedsięwzięcia narodowego w okręgu ołomunieckim, w którym nie brałby udziału ś. p. Vychodil, był też obywatelem honorowym wielu gmin. Odznaczał się prawością i skromnością.

† **O. Tomasz Šilinger**, Augustyanin, poseł do sejmu morawskiego i do parlamentu, zmarł dnia 16. czerwca w Luhaczowicach. Mówiono o nim, że nie miał nieprzyjaciela, tak był powszechnie lubiany i poważany. Urodzony roku 1866. w Tučinie pod Przerowem, wyświęcony w roku 1891, redagował berneński *Hlas*; posłem na sejm z okręgu gmin wiejskich břeclawsko-hustopečskiego został w roku 1906., w następnym i do parlamentu wiedeńskiego. Tam wniósł interpelacyę z powodu głośnej w roku 1907. rzezi w Czernowej na Słowaczyźnie, a potrafił ją umotywować i osobistym swym wpływem pokierować tak, że parlament ogromną większością uchwalił debatę nad interpelacyą, co równało się wyrażeniu nagany rządowi węgierskiemu i wogóle panującym na Węgrzech stosunkom. Odtąd był w pismach madiarskich »panslawistą«. Obydwa mandaty utrzymał i przy następnych wyborach.

Noclegi studenckie — studentské noclehárny — urządzone są od 16 lat po wszystkich zakątkach ziem czeskich dla podróżujących przez wakacye studentów. Przyczyniają się do organizowania »noclegarni« Klub czeskich turystów w Pradze i liczne inne stowarzyszenia, zarządy gmin, instytucye oświatowe i finansowe. Rozesłano tej wiosny 12.000 egzemplarzy wykazów »noclegowisk« dyrekcyom wszystkich szkół średnich i zawodowych. W biurze Klubu Czeskich Turystów (Praha II, v Jirchářích l. 5, I p.) można nadto otrzymać wykaz miejsc, gdzie studenci mogą przenocować za darmo w Karyntyi, Krainie, Styryi, Pobrzeżu, Dalmacyi, Chorwacyi i w Królestwie serbskiem. Wykaz ten wydał słowiński wakacyjny Związek liberalnej uczącej się młodzieży: Počitniška Zveza slovenskega naprednega dijaštva v Ljubljani.

Druk ukończono 28-go czerwca 1913.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: Dr. Feliks Koneczny.
Czcionkami drukarni Literackiej w Krakowie
pod zarządem L. K. Górskiego.